



Własności

Stanisławowi Kozłowskiemu
Bratko i Pymek 29.



Ætas parentum peior avis tulit
Nos nequiores.

HORATIUS.

Chamiec Tadeusz
Kazimierz

Dosy starożytny patrioty.
(Wiersze). 2 fascykule do
zmarłym stryjce otrzymującym
Andrieu w 1873/1874
Paryż 1873/1874
Dmitri 1873/1874
J. S. Chaudet



201825



SŁOWO WSTĘPNE

Parę lat temu nazad, w Lipcu 186... roku, poniosłem ciężką stratę w osobie stryja mego Tadeusza, Kazimierza C. Strata ta dotknęła mnie tem boleśniej, iż oprócz rodzinnych konwencjonalnych uczuć, łączyły mnie ze zmarłym i bliższe, osobiste, na mniej więcej zgodnych przekonaniach i zasadach ufundowane sympatje.

Staruszek to był (umierając miał lat przeszło ośmdziesiąt) « dawnego » jak się

mówi « etatu » nie zasklepiony jednak w swych opiniach, a dostępny wszelkim nowym dążeniom, a przyjmujący wszelkie nowe reformy; byle by te, dobro ogólne, szlachetny skutek, miały na celu.

Kraj swój kochał, kochał praktycznie i miłości tej dowodził, za młodu, krwią na Napoleońskich walk jeszcze przelaną polu; pod starość, zacnem, pocziwem sprawianiem kilku honorowych przez współobywateli powiatu powierzonych mu urzędów, rządną, rozumną, gospodarką niewielkiej lecz « złotem jabłkiem » powszechnie przezwaną, Poleskiej swej wioszczyny; radami a naukami wreszcie jakie zasiewał w sercach młodszego, a ze czią religijną słuchającego go pokolenia. Umierając majątek swój zostawił córce jedynaczce, mnie zaś, specjalnym w testamencie swym kodycylem zapisał: ładny zbiór książek i zwoje całe « starych swych » jak się wyrażał « szpar-

gałów » « niech zrobi z niemi co mu się podoba i co dobrem a słusznem być osądzi. » Dosłowne ostatniej woli zmarłego brzmienie.

Nie tajemem było nikomu z rodziny, iż staruszek całe swe życie muzom palił ofiary i poezją się bawił. Na prośby jednak blizkich, którzy z utworami ogólnie szanowanego patriarchy zapoznać się radzi, oprzeczytanie im choćby wyjątków błagali; odmownym, pamiętam zawsze, ruchem odpowiadał, ręki, słowami: « Nie warto! Potem! Kiedyś tam; Być może itd. »

Zrozumie więc każdy z jaką żałośną ciekawością, odebrawszy wieść o śmierci stryja i pakiet zapisane mi zawierający papiery; do czytania tych ostatnich, łzami jeszcze zalany, nabożnie się rzuciłem.

Lektura ta była dla mej myśli, dla mego serca, jakby dopełnieniem ostatniej nieboszczyka woli, jakby zagrobową jakąś, mistyczną, poufną, z nim biesiadą.

Pakiet mi przysłany dużo zawierał rzeczy. Obok licznych tłumaczeń z Łacińskich Klasyków (staruszek bowiem staranne, dawnego trybu, pod tym względem, otrzymał wychowanie i był może jednym z ostatnich Polaków, znających Łacinę expedyte) obok tłumaczeń także z niektórych współczesnych Francuzkich pisarzy; znalazłem w nim i parę oryginalnych utworów.

Pomiędzy temi ostatniemi, niniejszy (wydanie innych odkładam na później) niepoślednie, według mnie przynajmniej, zabierał miejsce.

Uderzył mię on prostotą, niewymuszonością swej formy, ciepłem uczuć, czemści osobistem, właściwem wreszcie, jak gdyby wonią zgasłej już epoki w sercu przechowaną, a od czasu do czasu z nadlatującym powoli dni naszych, dni postępu, mieszącą się, zapachem.

Notatki te rymowane, którym podróż do

Wilna pozornym tylko służyła pretextem, dość nieporządnie, a propos różnych spisywane rzeczy, a ciągle kręcące się w kółko, kolo jednego uczucia, a ciągle jeden i ten sam przedmiot, dobro kraju, mające na celu; zajęły mię i rozrzewniły.

Nie mogłem oprzeć się chęci podzielenia się niemi z szczerem lecz łaskawem gronem czytającej Polskiej publiczności. Nic w nich nie przemieniłem, nic do nich nie dodałem, nic od nich nie ująłem. Nie chcąc świętokradzką dłońią zacnych tych macić popiołów daje je takimi, jakimi się do rąk mych dostały.

Czas szybko bieży i w biegu swym wiele a wiele codzien przekształca rzeczy; niektóre więc ustępy tej książki do zmienionych, lub nieistniejących już wcale w kraju naszym, zastosowane okoliczności wydać się mogą czytającym, nie na dobie i nie w porę wypowiedzianemi, Czytając te ostatnie, niech się

myślą w tamte przeniosą chwile, niech odczują z autorem troski i nadzieje epoki, z którą nas tyle i tak wymownych łączy jeszcze tradycji; niech uwzględnią łaskawie położenie wydawcy, który nie śmiał, jak to już raz powiedział, nożycami cenzury, do świętych tych dlań dotykać się pamiątek.

Nic zresztą nie znika zupełnie, wszystko mniej więcej dobitne po sobie zostawia ślady. Ból i w zabliznionej czasem odezwać się może ranie.

Tytuł : « Dąsy » przezemnie całej nadany książce, tem sobie umotywować pozwolę : iż, jakkolwiek autor nic na pierwszej notatek swych nie położył kartce, w ciągu ich jednak, parę razy, wyżej wymienionem słowem, całą treść rękopismu swego z widocznem określił upodobaniem.

Tytuł ten przytem, zdawał mi się dobrze zastosowanym do zgryźliwego często tonu

gawędy; do opryskliwych a gorzkich czasem, choć serdecznych i szczerą miłością ku swoim napiętnowanych, kilku jej ustępów.

Czym źle uczynił śląc w świat ten głos z za grobu pokolenia, które nas na ziemi naszej poprzedziło, czytająca osądzi publiczność.

Pocziwą cegielką do ogólnej przyczynić się budowy, służyć braci tem, czem chata bogata, jedyną wydania tego było pobudką. Nie hucznych oklasków a cichego li tylko pragnąc uznania, w silnej, na to ostatnie oczekiwać będziem wierze.

WYDAWCA.

Paryż, dnia 2 Września 1873 roku.





DASY

STAREGO PATRIOTY





DĄSY

STAREGO PATRIOTY

ROZDZIAŁ I.

Lat temu będzie trzydzieści i parę,
Pod koniec Lipca i w sam środek żniwa.
Za moje grzechy, Bogu na ofiarę
Niechaj to idzie, z domu mię wyrywa
List od Cienióry, adwokata w Wilnie
List, że ma bytność potrzebna tam pilnie.

Proces, albowiem, com go przyjął w spadku
Ślimaczej naszej skutek procedury
Po ojcu moim, ba! dalej, po dziadku,
J który właśnie w rękę był Cieciory:
Iż w nim form pewnych, kiedyś zapomniano,
Zupełną dla mnie zagraża przegraną.

Jękło mi w piersi! Nie żarty! nie żarty!
Gdy pół fortuny z kieszeni umyka,
Obywatelem nie mienię się Sparty
Ani pozować nie chcę na Stoika
Umiem znieść dużo, nie skarżąc się, wara!
Ale Bóg widzi, na wszystko jest miara.

Tem bardziej zwłaszcza, na domiar strapienia
Iż święta słuszość w sprawie tej za nami.
Łacno mi tego dowieść bez wątpienia,
Czarno na białem, bo dokumentami,
Którym po dziadku Janie-Kazimierzu,
Odszukał, właśnie, za wczoraj, w spichlerzu.

Potrzeba jechać, nie tracić odwagi,
Może tak, owak, coś się zrobić uda;
Obok słuszności grosz rzucę na wagi
Grosz w sądownictwie wywołuje cuda.
Zaraz, niezwłocznie trzeba jechać Panie
A tutaj żniwa i kopy na łanie!

Gorżko na sercu! Czymem zgrzeszył Chryste?!
Za jakie winy biczujesz mię srogo?!
Zboża w człowieka gęste a kłosiste,
Gdy ich nie zbiorę wysypać się mogą!
Lecz z dwojga złego kiedy mam wybierać:
Wolę plon roczny, niż pół mienia sterać!

Jechać, to jechać, to już nie masz czego.
Ekonomowi musnąłem pod brodę,
By strzegł roboty, niby oka swego
Sutą mu za to przyrzekłem nadgrode.
Wszystko daremnie, wszak przysłowie uczy
Iż « Pańskie oko » tylko « konia tuczy. »

Ale cóż robić? Gotowa kolasa,
 Gotowe konie. Pudła a pudełka
 Znoszą z apteczki, cała tego massa.
 Dary Jejmości ; jakieś powidełka,
 Jakieś lekarstwa i niewidać końca.
 Jechać potrzeba, bo już zachód słońca.

« Zacinaj Maćku! Stój! » biegnie dziewczyna
 « A cóż tam jeszcze? » Pani zapomniała
 « Wianuszki z ziółek, które Xiądz Cyryna
 « Poświęcił dla niej w dzień Bożego ciała.
 « Skuteczny środek. » « Czy wszystko skończone.
 « Wszystko » « No Maćku! » « Pod Twoją obronę!

Ot i kołowrot ojczystego sioła
 Mgłą błękitną kryje się w oddali
 Jak zajrzy oko naprzód, w tył, dokoła
 Nic, prócz złocistej pszennych kłosów fali.
 Co jak na kpiny a urągowisko,
 Zem jej nie zebrał, kłania mi się nisko.

Gdzieniegdzie kopy wyciągnięte sznurem,
Niby rząd wojska nieruchomie siedzą;
Tam grono żeńców pieśń zawodzi chórem,
Tam wóz ładowny zwolna ciągnie miedzą.
Słysząc brzęk sierpów, woń świeżego chleba,
Gwizdy przepiórek..... A mnie jechać trzeba

Kiedy pomyślę, iż są tacy ludzie,
Co podróżują ot tak, z dobrej woli;
Którym nie tęskno, niesłychany cudzie!
Do swoich śmieci i do swojej roli.
Którym nie dobrze, tylko na obczyźnie,
Kędyś za morzem, gdzieś na Tatarszczyźnie.

Istne to dziwy! Mnie tutaj tak błogo,
Jam tak wrósł w czarne ziemi mojej łono,
Ze mnie z niej żadną nie wypędzisz trwogą
I nie wywabisz przeżadną mamoną.
Cóż że gdzieindziej pięknie a bogato?
W cudzym pałacu żal za swoją chatą!

Bo ona moja, wierna przyjaciółka
Ta sama zawsze w złe i dobre chwile
Z okien jej widzę, u progów kościółka.
Krzyż, co na ojca wznosi się mogile.
I las dębowy, co mi przypomina,
Żem zeń wziął drzewo na kołyskę syna.

Bom ja w niej nie jest niepotrzebnym sprzętem
Polypem tylko, co nie swoje zjada;
Bom ja w niej ścięgnią i przymierzem świętem
Co piersi wnuków z piersią wiąże dziada.
Bo mnie z niej wyjąć nie można bezkarnie,
Nie przemieniając rodziny w owczarnię.

Bo mi tu wszystko, każda skiba roli
Jakiemś wspomnieniem do duszy się miota
Czasem pocieszy a choć i zaboli
W niej zawsze kartka mojego żywota;
Pomnik przeszłości i kto wie, narzędzie
Owego jutra, które może będzie!

Jużci o gusta sprzeczać się nie sposób,
Każden ma swoje : sens i przekonanie,
Lecz ja tu mówię do niektórych osób,
Co kraj zohydzić mają za zadanie,
Robiąc ofiarę z swej narodowości,
Na abstrakcyjnym ołtarzu ludzkości.

Do nich ja mówię do kosmopolitów
Całego świata cnych obywateli,
Cywilizacji mądrych prozelitów ;
A w gruncie rzeczy, tych, co gdy już wzięli
Z kraju co można, to z duszą przebiełą
Spieszą gdzie spokój, obowiązków mało.

Los to zaiste godzien jest zazdrości,
Kiedy kraj tonie stać sobie na brzegu ;
Filozofować, mówić o ludzkości,
O dziejów świata naturalnym biegu,
O wszystkim zgoła, byleby nie o tem,
Czego trza dowieść krwią własną, lub złotem.

Zwać warjatami tych, którzy się biedzą
Aby ojczyznę wyciągnąć z niewoli;
Inną gdzieś sobie odszukać za miedzą
I tę porzucić w godzinę złej doli;
Ludzkości służąc, nie służyć nikomu,
Wszędzie być chwastem, włóczęgą, bez domu.

O towarzysze korporacji « Tchórza! »
O bałwochwalcy smacznej wy pieczeni!
Darmo w pogardzie myśl się moja nurza
Słowy nie rozciąć wężowych pierścieni;
Kłamstw i obłudy któremi w około,
Przed plwocinami zakrywacie czoło!

Wyście większością, bo więcej jest brudu
Niżeli peret na życiowym rynku;
Wyście większością bo drożyny trudu
Twardsze są stopom, niż drogi spoczynku;
Wyście większością, bo zawsze jest więcej.
Gęsi niż orłów, niżli lwów, zajęcy!

Wyście większością, bo umiecie kłamać,
Bo macie fałszu i bezwstydu sporo,
Bo gdzie dębowi z wichrami się łamać,
Kark wasz jak trzcina zegnę się we czworo;
Boście bezduszni, bo choćby niecnotą.
Brzuch wasz ocalić, to już mniejsza o to!

Zwodzić umiecie dzieciątka niewinne,
Z Diaforjusa błazeńską powagą (a)
Braci na ścieżki prowadzicie inne,
Prawdę im niby ukazując naga :
Iż nie trza ducha w ciasnym więzić kole;
Iż wy mu szersze otworzycie pole.

« Coż to ojczyzna? Kropla w w oceanie!
Wartoż to o nią troszczyć się zawzięcie?
Zginęła? Mniejsza! sto innych powstanie
I sto tych innych utonie w zamęcię,
Tem lepiej! Ludzkość prędszej się pobrata,
Grób ich kolebką a w niej przyszłość świata. »

« Patriotyzmy rodzinnej dzwonnicy,
Średnich to wieków spruchniałe ostatki;
Więszszego Boga myśmy pokłonnicy.
Śmieszne przesądów rozwalamy klatki
Hardo i śmiało dążymy w przestrzenie,
Wiedzy wszechwaładnej roztaczać promienie! »

« Strzeżcie się, strzeżcie. bo nadejdą chwile
Iż z brzydkiej twarzy maska się wam zsunie,
Gmach na matczynej wzniesiony mogile,
Gmach waszych fałszów w przepaść przekleństw runie
I świat was ujrzy, da Bóg że się ziści
Apostołami własnych li korzyści!

Ktoby was nie znał, kupiłby was może.
O szarlatani! Wam że to na świecie,
Dziejowych prądów na bok zwracać łożę?
Zrywać te węzły, które z matką dziecię
Wiążą od wieków, nie chłodnym rozumem,
A krwią, a sercem, tkliwych wspomnień tłumem!

Koło rodzinne, naród, ludzkość cała
To jakby szczeble w tej samej drabinie;
Błądzi fantazja głupia a zuchwała
Myśląc, że łatwo jeden z nich ominie,
Strzeżcie się! Noga jak nic się pośliźnie,
Tym, co nad braci umiłują bliźnie.

Bądź naprzód dobrym ojcem, bratem, synem,
Wszak obowiązki każde z mian tych wkłada;
Zanim za innym pogonisz wawrzynem,
Strzeż by twa chata była z ciebie rada.
Cnocie domowej prym przed wszelką cnotą.
Zły syn rodziny złym jest patriotą!

To pierwszy szczebel, dalej się roztacza
Szerszy horyzont, inych trudów pole
Tu obywatel wyrasta z oracza,
Skromna ptaszyna mknie w szlaki sokole,
Po Dniepr, po Odrę, Bałtyk, Czarne morze
Krew dziadów twoich w każdym tam ugorze.

To twoja ziemia, to matka twa dziecię
Była potężną och i szczodłą dłonią
Sypała wtedy, to zaczem na świecie,
Ludzie od wieków gonili i gonią
Sławę, bogactwa, urzędy, zaszczyty,
Niejeden zdrajca w one był posyty.

Dziś ona kona ; skonała, bez woli,
I nad jej trudem krwawych sępów stado ;
Och powiedz dziecię, czyż cię to nie boli ?
Czyliż krew wstydu na twarz twoją bladą
Nie tryska ogniem ? Piersi nie rwież łkanie !
Czyż nie dasz życia za jej zmartwychwstanie ?

Pracuj więc, pracuj, Jej ból twoim bolem
Jej byt twym bytem, uczyni raz na zawsze ;
W tę tylko stronę czynów stąpaj polem,
Kędy dlań nieba zaoczysz łaskawsze !
Choć piersi duszno, stopy ciernie ranią
Wciąż tylko dla Niej i ku Niej i za Nią !

A nie wierz temu, co ci szeptce zgrają,
Niecnych oszczerców, najemnych siepaczy;
Ufność w zwycięstwo niech twe siły zdwaja
Broń się zwątpieniu i broń się rozpaczy!
Gdy ty upadniesz, cóż ztąd? Pójdą inni!
A przeklętymi li tylko beczynnimi!

Bo któżby pytam w zacność wierzył tego
I w wierne służby, tak ludziom jak Bogu.
Kto skalał ściany domostwa swojego,
Kto własną matkę odepchnął od progu?
O nie! Bezwiednie! zwykłym rzeczy stekiem!
Zły syn ojczyzny, podłym jest człowiekiem!

Kiedyś już spłacił pierwszy dług miłości
Rodzinie twojej i ojczystej ziemi,
Resztą uczucia co w twej piersi gości
Obdarzaj wszechświat, dziel się niem z bliźniemi
Gdy chęć po temu, jeśliś na to gotów,
Umiłuj wtedy nawet Hottentotów!

Nikt zbytku serca w tobie nie wyplenia,
Mieść w niem gdy zdołasz obie ziemi sfery,
Filantropiczne trudy a dążenia,
Wszędzie hołd znajdą powinny a szczery,
Bylebyś uczuć nie wypiętrzał gmachu,
Bez fundamentów, wszczynając od dachu.

Tym trybem wszystko rządzi się w naturze
Swojemi szlaki każda płynie gwiazda,
Wróbel przy ziemi i król ptaków w górze
Do swego trafia, swego broni gniazda;
I kwiat usycha, gdy niebaczone dłonie,
W obcej go gleby chcą zaszcześcić łonie.

Gdzie zwierząt ciągnie instynkt im wrodzony,
Tam nas, istoty obdarzone duszą,
Inny cel jakiś, bardziej uzacniony
Inne przyczyny powoływać muszą;
Więc język swojski, więc zwyczaj, wspomnienie,
Więc godność własna, więc praojców cienie!

Niesposób z tego wywinać się koła
Bez blizn na sercu i wstydu na skroni
Prawda zbyt głośno do sumienia woła,
Natura przykład kładzie jak na dłoni ;
Chwast tylko podły, co się wszędzie pleni
Wszędzie też dobrze tym, co znikczemnieni.

Każdy u siebie ile sił mu stanie
Do dobra swoich niech pracy dołoży
O reszcie myśleć nie jego zadanie
Ogólne dobro samo się wytworzy
Gdzie nie ma cząstek, nie ma tam całości,
Gdzie brak ojczyzny, brak tam i ludzkości.

Dixi. Już dosyć. Raz jeszcze wyraźnie
Streszczę słów moich nieporządne szyki,
Synowi memu wciąż mówiłem : Błaźnie!
Puść mimo uszów złych doradców krzyki.
Smiej się im w oczy i do stu tysięcy
Kochaj świat cały, ale Polskę więcej!

Krwi sobie zdrowej napsułem bez miary
Sierdząc się srogo na tych mościpanów.
Ucisz się nieco, odpocznij mój stary!
Oto gościńcem wśród wierzb i kasztanów,
Raźnie, wesoło kolasa się toczy,
Widokiem kraju napaś twoje oczy.

Ku zachodowi, po za czarnym lasem,
W morzu zieleni słońca tonie bryła.
Jak na dobranoc, rzadka tylko, czasem,
Zamglonej ziemi promyk swój posyła.
W oknach cerkiewki, w miedzianej szyb ramie,
Promyk ten tęczę przez chwilkę się łamie.

Ot już i zagaśł, a natomiast blady
Rąbek księżycy twarz wychyla białą;
Rzekłbyś od gwiazdek wysłany na zwiady
Czy nie ma słońca? Nie ma. A więc śmiało.
Nasza to kolej! I przez chwilki mgnienie
Muóstwem się iskier zasiały przestrzenie.

Powietrze pełne tych dziwnych odgłosów,
Co często na wsi, wieczorną godziną,
Bóg to wie tylko, czy z głębi niebiosów,
Czy z głębi borów po nad ziemią płyną;
Rzekłbyś nieznanym jakichś zwierząt ryki,
Albo też echa nieziemskiej muzyki.

Lud prosty mówi, iż w lasach dokoła
Panów myśliwców pokutują mary,
Co nie szanując przepisów kościoła
Z strzelbą w niedzielę szli między czahary;
Wiodąc ze sobą tłumy swoich kmieci
Aby im zwierza spędzali do sieci.

Otóż gdy słońce do snu się położy
Wtedy się w borach wszczyna polowanie;
Tem karze winnych straszliwy sąd Boży,
Czem tu grzeszyli, dusze ich jak łanie,
Pierszchają wszędzie, w ich ślady szatani
Gonia, ścigają, za strzelców przebrani.

I ztąd ten hałas, co go ucho słyszy.
 Grają psy gończe, grzmią huczne wystrzały,
 Trąbka zwołuje djabłów towarzyszy
 I jęczą łanie które popadały.
 Tak lud nasz wiejski na sposób prostaczy
 Dziwy natury sądzi i tłumaczy (b);

Po nad łąkami, nad groblą, wzdłuż boru,
 Mgły się wilgotnej obrus ściele szary;
 Na tle jej smętnem, w pomrokach wieczoru,
 Wszystko dziwaczne przybiera rozmiary
 Drzewa olbrzymów, ścięte pnie ich znowu,
 Karłów potwornych skurczonych u rowu.

Jest coś w tej cichej przednocnej godzinie,
 Co myśl najbardziej przykutą do ziemi,
 Po szafirowej fantazji krainie,
 Przymusza bujać skrzydłami rączemi;
 Kędy nas powieść nianiek prowadziła,
 Gdzie pełno cudów i tajemnic siła.



Ogniste smoki, zaklęte królowny,
Straszliwe wiedźmy konno na łopatach,
Ryk wilkołaków, płacz rusałek rzewny,
Czarnoksiężnicy z gwiazdami na szatach,
Wszystko to zda się pośród nocnej toni
Ciebie przyzywa i za tobą goni,

Choć czoło zryły troski i cierpienia
Choć piąty krzyżyk kreślić ci wypada;
Te dawnych druhów przelotne wspomnienia,
Wdzięcznym uśmiechem dusza wita rada.
Po twarzy, zwolna, łza się żalu toczy
Stary mazgaju! Wstydz się! Otrzyj oczy!

Ot już i wioska, chałupy w rozdole,
Przy skręcie drogi, świecą się oknami.
Kmiotek po pracy, zasiada, przy stole,
I wygłodzony, kluski z pierogami,
Zjada tak smacznie, jak gdyby to Panie,
Stołów królewskich godne było danie.

Sznurem się, sznurem wyciągają chaty,
Jedna do drugiej, rzekłbyś przytulone,
Jakby tam nie był wieśniak nasz bogaty,
Nie pójdzie nigdy gnieździć się na stronę
Kędy przestronno i kędy wygodnie
Na dawnym miejscu siądzie niezawodnie.

« Tu był mój ojciec, tu mi dożyć wieku! »

Radzącym nowość, zwykle odpowiada.

« A przy tem jakoś człowick przy człowieku

Sąsiad koło mnie, ja koło sąsiada

To nam weselej i raźniej i lepiej

Do samotnego bieda się przyczepi. »

Siedzą więc sobie w braterskiej gromadzie

Każdy ma z tyłu gumno, chlewów parę,

Sadek niewielki, parę uli w sadzie,

I nic już więcej, pole tylko szare,

A las co wjankiem zielonym otacza,

Wioskę rodzinną, horyzont oracza.

W samym wsi środku, na szerszym placyku.
Jak gdyby ratusz stołecznego miasta,
Świątynia bójek, hulanek i krzyku;
Dom Bachusowy vel karczma wyrasta
W niej niezliczone plemię Izraela
Biednych wieśniaków poi co niedziela.

Za nią, nad stawem u krańców już sioła
Cerkiew kopułą przyświeca blaszaną,
Rzędem lip starych obrosła w około,
Budzi się tylko wieczorem i rano
Gdy diak o świcie wzywa do pacierza
Lub gdy « na Anioł » we dzwony uderza.

Gdzie wreszcie długa, klonowa ulica
W jedno się wielkie zaokrągliła koło,
Tam, na tle sadu, biały dwór dziedzica
Wdzięczny swój profil rysuje wesoło.
A jeszcze dalej skarbowe stodoły
Już w cieniach nocy znikają na poły.

Ot cała wioska, kto ich widział parę.
Ten widział tysiąc za jednym zamachem,
Cóż je wyróżnia? chaty bardziej stare,
Dwór pokaźniejszym piętrzący się gmachem,
Czasami rzeka, czasem staw szeroki,
I krzyż cerkiewny mniej więcej wysoki.

Zresztą nic więcej, nic, lub bardzo mało,
Czystsze na babach i dzieciach siermięgi
Domostwo bielszą świecące powałą,
Pozór wieśniaków pokorny lub tęgi,
Swiadcstw wymownych lista nieprzebrana,
O charakterze i zasadach Pana.

Wpadam na temat, o którymby śmiało
Z każdej go strony traktując surowie
Dziesiątki tomów napisać się dało;
Może też z czasem coś się o nim powie;
Ale nie teraz, spóźniona już pora
Czas na spoczynek « Canonica hora. »

A więc na stronę długie śląc rozprawy
Wołam na Maćka : Zacinaj koniska!
Owsa i świeżej dorzucisz im trawy,
Za chwilkę trudu, wszak mieścina blizka.
W której u Herszka staniemy noclegiem,
Niechaj więc ruszą podwojonym biegiem.

Ledwiem to wyrzekł, Maciek za bicz chwyta :
Wzniósł go, w powietrzu zawinął nim koło
Swiśnął. Dość tego. Koniska z kopyta,
Po gładkiej drodze pomknęły wesoło.
Dwór, cerkiew, karczma, wioska cała, z tyłu
W gęstych obłokach utonęły pyłu.

Lecim. Spotkane po drodze przedmioty,
W nocnym pomroku niewyraźnie giną,
Pola ze zbożem, wydmy, łąki, płoty,
Jedną się szarą wydają równiną :
Na niej las tylko czernieje w oddali,
I rzeka błyska, gdyby wstęga z stali.

Miasteczko wreszcie ściele się przed nami
Nad ciżbą domostw pokorną a niską
Kościół się w górę dźwiga wieżycami
Krok naprzód, błoto; dwa naprzód śmiecisko
Zabłądzić trudno. Zbyt pewne oznaki
Iż tu królują Szlomy i Izaki.

Konie przystają. W porę. Chwała Bogu!
Możemy spocząć po zmudnej podróży.
Witaj karczemko! Pan Herszko na progu,
Kłania się czapką i woła na stróży
« Otwórzcie wrota » w swej łamanej mowie.
Wieźdźamy. Basta. Dobranoc Panowie!





ROZDZIAŁ II.

Któż z tych co byli w biednej naszej ziemi,
Zapomnieć zdoła o jej niewygodzie?
Włokąc się we dnie drogami grzązkiemi
Komuż nie przyszło zasypiać o głodzie?
Za zmiłowanie uważając Boże,
Żydowską strawę i żydowskie łoże!

Któryż z tych nawet, co swój tłumok wiozą,
Budząc się w nocy, czego? Zgadnąć łatwo,
Nie walczył wstrętem przejęty a zgrozą,
Z czarno ruchomą ścian żydowskich dziatwą;
Co nieproszona, na strudzonem ciele,
Sprawiała sobie bankiet i wesele?

I któż z nich wtedy, nie przypomniał sobie,
Tych za granicą wygodnych hoteli
Smacznego jadła o każdej dnia dobie
Snieżysto czystej niemieckiej pościeli?
I któż z nich z jękiem nie pytał rozpaczy,
Czem u nas nie tak? czem u nas inaczej?

Panowie moi, odpowiedź wam na to,
Gorzka a szczerza, sama do ust płynie,
Bóg dał nam ziemię hojną a bogatą,
Ptasiego mleka braknie w niej jedynie,
A że tak leży brudna i odłogiem,
Któż temu winien przed światem a Bogiem?

Nic na tym świecie samo się nie stwarza
I nic bez pracy początku nie bierze,
Kramu nie będzie, gdy nie ma kramarza
Kto chce spać dobrze, ściele sobie leże,
Pieczone do ust nie lecą gołąbki,
Kiedy jeść pragniesz, to nie żałuj gąbki!

Za granicami wsze wytarłszy kąty
Złotem swem, obce wypchawszy kieszenie
Że w domu ściany i piec tylko piąty
Dziwim się potem. Proszę uniżenie!
A jakże chcecie? Rzecz prosta. Wszak za to,
U Panów Niemców ładnie i bogato!

Czyliż myślicie, że jeśliby oni
Naszym zwyczajem, czując w kabzie grosze,
Zamiast ich użyć na korzyść swej błoni
W obce je błoto cisnęli po trosze.
Czyliż myślicie, że kraj ich, tak samo
Nie byłby pustą i błotnistą jamą?

Lecz oni mądrzy, gdy z nich ktory, czasem,
Gnany niedolą w obce ruszy kraje,
To całym siły i woli zapasem,
Majątek zbiera, w pracy nie ustaje,
Marząc li o tem, jak na stare lata
Powróci z groszem, gdzie ojczysta chata.

I to co widział na wędrówek ziemi,
Co mu się dobrem a korzystnem zdało,
On to zaszczepia pomiędzy swojemi
Szczęsny ich szczęściem i dumny ich chwałą.
Gdy czas umierać, umiera spokojnie
Święty dług życia zapłaciwszy hojnie.

Takby nam bracia postępować zdawna
A byłab Polska, pośmiewisko świata,
A byłab Polska, jak kraj inny sławna,
I jak kraj inny wolna i bogata,
A byłab Polska i żytna i miodna,
Jak inne kraje, ładna i wygodna!

Póki nie zbędziem wiekowej choroby,
Włóczęg bezdarnych po Paryżskich brudach,
Póki do kraju, tylko garderoby,
O bulwarowych li wspomnienia cudach,
Tylko romanse i tylko papugi,
Przywozić będzie ten, jeden i drugi.

Póki Panowie i Panie wielmożne,
Z tego co umysł wytworzył człowieczy,
Czytywać będą tylko to co zdrożne,
Co sensu nie ma i co nic do rzeczy;
Łzy głupie ronić nad « Heloiz » dolą,
Lub się « Faublasów » zachwycać swawolą (c).

Dopóki ciągle ojczystą swą strzechę,
Jak ową kurę, co się niesie złotem,
Traktować będziem, wrogom na pociechę :
Zabrawszy jajko, ciskać ją pod płotem.
Niech co chce robi, niech umiera z głodu,
Nam jej nie trzeba, nam trzeba dochodu !

Póki ją ciągle, gdy nam precz się spieszy,
Zostawiać będziem w ręku ekonomów,
Na łup zgłodniałych cudzoziemców rzeszy,
Rządców Francuzów, Niemców, agronomów
Co do nas lizą w szlachetnej nadzieji,
Ze, coś ukradłszy, uciekną z kolei!

Póki! Och póki! Nie rozniecim w łonie
Ognia, co, ufam, tli jeszcze w popiele;
Póki cześć winną obcej dając stronie,
Swej własnej serca nie oddamy wiele,
Póty nam milczeć, póty bluźnią wargi,
Co na niewinną podle szepcą skargi!

Piękna mi słuszność : « Ach jak tutaj brudno
« Jakie złe drogi! Jaka nędza! Boże!
« Rzeczy koniecznych dostać nawet trudno!
« Jak też w tym kraju kto wytrzymać może?!
« Wszak to Sahara! » Dalej et caetera,
Mówiąc tak Państwo w podróż się wybiera.

O pracowite obcych mrówek roje!
Tak jako niegdyś w Lafontaine bajce,
Przed nosem świerszczów zamknijcie podwoje,
Wstępu nie dajcie darmozjadów szajce!
Kiedy spiewała przez calutkie lato,
Niechaj dziś skacze, niechaj cierpi za to!

Każden za siebie, i każdy dla siebie,
Wyście składali, macie użyć prawo,
My jęczeć tylko umiemy w potrzebie,
Do nieba dążyć skargą naszą łzawą
Skargą na wszystkich, na wszystko, jedynie
O własnej czemuś zamilczamy winie.

O nie masz, nie masz, litości dla tego,
Który nie myśli o szczerzej poprawie,
Który li wzdychać umie do dobrego,
I na sąsiada gapić się ciekawie,
Na jego dolę zapatrzony błogą,
U siebie, w domu, dawną idzie drogą.

Nie masz litości dla ciebie mazgaju!
Co choć wąż buja, potrzebujesz mamki!
Co postawiony u wrót samych rajów,
Nie masz dość siły na ujęcie klamki!
Co ufasz myśląc, « Kiedy się rozbeczę
Licho się złęknie i samo uciecze! »

Nie masz, o nie masz litości dla ciebie!
« Bierz coś zarobił. » To odpowiedź sroga,
Z jaką się spotkasz na ziemi, na niebie,
U braci ludzi i u ojca Boga.
« Bierz coś zarobił ani mniej, ni więcej! »
Dość więc tych szlochów i skargi dziecięcej!

Do domu! Trutnie! Póki jeszcze pora!
Póki wam w piersiach drga jeszcze sumienie!
Matka nie zmarła! Matka tylko chora,
Lekarstwem dla niej wasze nawrócenie!
Lekarstwem dla niej waszych ramion siła,
Co chcecie tylko, cuda by robiła!

O i nie myślcie, bym was moją radą
Pod topór kata posyłał z zapalem,
Bym śmierć męczeńską, śmierć poświęceń bladą,
Wam tu przed oczy stawiał ideałem!
O niech z was żaden, zbyt do czynów rzutki
Powstańczej tutaj nie słyszy pobudki!

Nie! Ze czcią winną zginając kolano,
Przed owych świętych kohortą ofiarną,
Co o północy mówiła : « Już rano! »
I szła wpatrzona w ową jutrznię marną
By swemi trupy i swojemi kości
Wyprościć matce drogę do wolności.

Nie! Hołd jej dając, jako się należy,
Nie będę radził na niepewne szanse
Wszystkich tam sprawy posyłać żołnierzy,
Gdzie padły pierwsze jej rekonesanse.
Nie chcę jak inni, niechaj Bóg mnie broni;
Na oślep wołać : « Do broni! Do broni!

Martyrologium Polskiego kościoła,
Dość już, bez tego, świętych ofiar mieści,
Ojczyźnie służyć można wszystkim zgola,
Nie tylko śmiercią i jękiem boleści,
I by zwyciężyć pośród naszych szyków,
Nie samych tylko trza nam męczenników!

Gdy wróg silniejszy stopą piersi tłoczy
Wtedy nie umrzeć istną jest zasługą
A skorzystawszy, że odwróci oczy.
Wyrwać się z pięści co dławila długo,
Choćby chytrością, chociażby podstępem,
Straciwszy ostre, choć narzędziem tępem!

Szukajmy pilnie! Każdy bez wyjątku
Znajdzie pod ręką to zbawcze narzędzie,
Rolnik w swej chaty ubogim zakątku
Handlarz w swym kramie, sędzia na urzędzie,
Ten co się uczy w ksiąg swych pargaminie,
Szukajmy tylko, szukajmy jedynie!

Bądźmy mądrymi! Wiedza to potęga,
Co głupio silne na dół zgina czoła;
Gromko uderza i daleko sięga,
Żadna jej przemoc oprzeć się nie zdoła,
Bądźmy mądrymi! Każdy w swym zakresie
Na wspólny ołtarz, niech dań wiedzy niesie.

Miejmy pieniądze! Pieniądz siła wielka
Sprężyna wojny i czynnik pokoju!
Tam gdzie o podłość moc się kruszy wszelka,
Paktolowego popuścić tam zdroju,
Głaz on przejada. Choć wyznanie boli
Lepiej się kupić, niż zostać w niewoli!

Bądźmy ostrożni! Gdzie walka z szatanem,
Trudno tam zgrywać rolę bohatera.
Rąbać na oślepi, złym to być hetmanem,
Rozumny hetman w koło się obziera,
Nie chcemy burdą, co się darmo sili
Na szwank narażać zmartwychwstania chwili!

Miejmy wytrwanie! Gdy się potknie noga,
Nie traćmy serca w szalonej rozpaczy;
Powiedzmy sobie : to fałszywa droga!
I doświadczeni działajmy inaczej
Dziesięć, sto razy, tysiąc jeśli trzeba,
Tylko cierpliwym pomagają nieba.

Bądźmy ufnemi! ufność sił przysparza
Wiara w zwycięstwo wygranej połowa,
Patrzmy na przykład tego gospodarza
Co choć mu łany śnieżny całun chowa;
Nie traci wiary, iż z wiosny godziną,
Fale się kłosów z pod niego wywiną.

Temi zasoby i cnotami temi,
Pierś swą okujmy jak gdyby pancerzem,
Z tym, co nas nie chce bądźmy oziębłemi,
Z tym, co nas zna. zwiążmy się przymierzem,
Lecz nie przestając liczyć li na siebie,
Najlepszy drużba zawodzi w potrzebie.

Deklamatorskie niektórych tyrady
Traktujmy z lekka, jako tego warte;
Dziękujmy wdzięcznie za przyjazne rady,
Lecz nic nie stawmy na ich pustą kartę.
Wciąż pamiętając o niedawnej sprawie
« Porządek » mówmy « panuje w Warszawie (d). »

O i nie chciejmy, jako ci nędzarze,
Wyciągać ku nim błagających dłoni;
Z mienia, co znikło w ojczyzny pożarze,
Choć trochę dumy niech się w sercu chroni,
Nie, nie litości, nie, nie zmiłowania,
Praw naszych świętych żądajmy uznania!

Takiemi bądźcie o synowie Piasta,
Narodzie, niegdyś, ludem zwan rycerzy;
Dowiedz, żeś dzisiaj nie figurką z ciasta
Co w proch upada, kiedy grom uderzy;
Lecz, że wciąż zdołasz z dawnym walczyć hartem,
W tajnikach kopalń i w polu otwartem!

Takiemi bądźcie! a jak Bóg jest Bogiem.
Tak sprawiedliwość i wam będzie dana,
Miast zginać czoło przed najeźdźcą, wrogiem,
Jego zmusicie harde zgiąć kolano.
I ja dziad siwy, co dziś z wstydem płaczę,
Przez wieko trumny wasz tryumf zobaczę!

Gdym się obejrzał w tył o wierszy trzysta,
Na mej gawędy rozkukane morze;
Śmiech mię zdiął szczery, jakim legionista!
Co tam za nieład miłosierny Boże!
Od złej pościeli, dróg co męczą kości,
Co za przeskok do niepodległości!

Zwyczajnie stary, baje sobie, baje,
Za mało siły, myśli nie powstrzyma,
Myśl wiecznie młoda, więc skacze o staje,
Ani porządku, ni reguły nie ma;
To naprzód biegnie, to się nazad cofa,
I strofę luźną, luźna goni strofa!

Wy, którym przyjdzie, kto wie gdzie i kiedy,
Starego dziada przerzucać szpargały;
O tej łupinie pamiętajcie wtedy,
Co chociaż szara, orzech kryje biały;
I na grzech formy cisnąwszy zasłonę,
Rad posłuchajcie, co pod nią złożone.

Budzi się karczma, budzi się miścina,
Choć jeszcze wczesnie, choć za ledwie świta,
Już pilny Herszko handelek zaczyna,
Już w półkwaterek szumi okowita;
I ludek wiejski, przybyły na targi,
Spalone słońcem, odwilża w niej wargi.

Pani Herszkowa wierna swojej roli
Kolo komina do bab się przysiada
Kosze przeziera, nawiasem, powoli,
Pyta o zdrowie męża, dziątek, dziada
Wódki dolewa, przyjazna a szczerą;
W pół darmo, potem, towary zabiera.

Z za okien karczmy, z rynku, z targowiska,
Coraz to nowe dolatują krzyki :
Skowyczy prosię, gdy je powróż sciska,
Głębokim basem wtórują mu byki ;
Bek owiec, kozłów, chłopskich koni rzenie,
Dają ci koncert na twe przebudzenie.

Maciek się krząta koło samowara,
Czyści mi bōty i odzienie składa ;
Sen mój szanując, po cichu, jak mara,
To tam, to ówdzie, na palcach sie skrada :
Z niewzwyczajonej do tych rzeczy, dłoni,
Przestrachu pełen, czasem coś uroni.

Samowar mruczy gotów na usługi
Szlanką lub dwóma, z cytryną herbaty ;
Na stole fajka, przy niej cybuch długi,
Z żółtym tytuniem kapczuszek brzuchaty ;
Wstawaj leniuchu, zmów pacierz, zmyj głowę,
I pokrzep ciało na podróże nowe !

Jeszcze się niechce, jeszczeby się spało,
Jaką godzinę, półtóry z okładem;
Lecz wstyd tak pieścić rozmiękczone ciało,
Wstyd dobrym ludziom złym służyć przykładem,
Wstyd marnotrawić czas każdemu drogi,
A więc piecuchu! Ziewnij i na nogi!

No dzięki Bogu, że dał dożyć rana!
Dzień będzie śliczny, nie nazbyt gorący,
Jak raz dla żeńców pora pożądana
O moich kopach wspomniałem niechcący,
Markotno chwilę. A cóż! Trudna rada!
Bóg chciał! wyrzekłem i smutek odpada.

Zmówiwszy pacierz i podjadłszy dziarsko,
Gdy Maciek rzeczy układa w tłumoku,
Wszedłem do izby tak zwanej szynkarską,
I paląc fajkę usiadłem na boku.
Rad zawsze słuchać, co lud prosty gwarzy,
O zwykłych troskach, braci gospodarzy.

Patrzę więc sobie i słucham ciekawie;
Na prawo, w rogu, na około stołu
By pogawędzić o ogólnej sprawie,
Gromada chłopków zasiadła pospołu;
W środku dwóch starców, z długą, siwą brodą,
Między swojemi rej jak widać wiodą.

Jeden z nich chudy, małeńki, zgarbiony,
W starej siermiędze świecącej dziurami;
Z po pod brwi gęstych w wszystkie karczmy strony,
I ku mnie z trwogą spoglądał czasami;
Mówił po cichu, lecz żywo, z pośpiechem,
Tłum jakimś smutnem wciąż mu wtórzył echem.

Drugi wysoki, rumiany, barczysty,
Chociaż gorąco w baranym tułubie,
W butach (dostatku dowód oczywisty)
Słuchając, nożem w desce stołu dłubie;
A gdy przemówi z porządku, kolejną,
To słowa jego, rzekłbyś, radość sieją.

Reszta, tłum zwykły, gawiedź jakiej wiele,
Pijąc gorzałkę, siadła na uboczu;
Rolę komparsów przyjąwszy w podziele,
Głównych aktorów nie popuszcza z oczów;
I według tego, co który z nich gada,
Lub bardzo smutna, albo bardzo rada.

Słucham więc, słucham. Kolej na małego :
« Panowie! » mówi « To oprawcy, kaci!
Pracujesz dla nich z zapomnieniem swego,
Za trud nahajką każdy ci zapłaci.
Krew naszą piją, istotne pijawki,
Śmiertelnej dla nich prosimy Boga czkawki! »

« Miałem chudobę : krowę, wołów parę,
Z dziesiątek owiec, karmnego wieprzuka;
Myślałem spocząć i kościska stare,
Grzać na przypiecku u Dymitra wnuka;
Hożę znalazłem już dlań młodyczkę
Martę, u księdza była za najmyczkę. »

« Wszystko, na pozór, poszło nam jak z płatka,
Dymitr się wpatrzył w ślipięta dziewuchy,
Marta też sercem ignęła do gagatka,
Jużem u Herszka zamówił siwuchy ;
Z miodu obrałem wszystkie w sadzie ule,
Gdzietam! Człek strzela, a Bóg nosi kule! »

« Czart nam nawinał młodego dziedzica,
A bałagulę, czy jak tam ich miano (e)
Wpadła mu w oko Marta krasawica,
W dwa dni ją potem do dworu wezwano ;
Próżno płakała, próżno dotąd płacze,
Pan kazał! Hodi! Plemię hajdamacze! »

« Dymitr zazdrośny, ot młody zwyczajnie,
Szalał, warjował, pił, stał się próżniakiem,
A raz się zakradł tam gdzie dworskie stajnie,
I dziedzicowi pogroził kułakiem ;
Zgadniecie resztę : związany, okuty,
Dostał sto batów i poszedł w rekruty ! (f) »

« Przepadło wszystko! chcąc wykupić wnuka,
Sprzedałem woły, sprzedałem i krowę;
Glupi kto w polu bystrych wiatrów szuka!
Na klęski siebie naraziłem nowe!
Pan się rozgniewał, wypędził mię z siola,
Oj doloż moja, dolo niewesoła! »

Zamilkł dziad stary. Szmer w słuchaczów gronie
Trzęsą głowami « Tacy to Panowie!
Który z nich lepszy, niech ich piekło chłonie!
Kto z nas o sobie czegoś nie opowie?
Ot pijcie stary! gorzałka na stole,
Nam na pociechę, Lachom na niedolę! »

« Ej! Ej! » rzekł starzec czerstwy a rumiany,
« Ej! Ej! Gromado! Nie sąǳcie za srogo!
Jam nie wczorajszy i znam co to pany!
Są źli, zapewne, drą z nas ile mogą,
Ile sił starczy; lecz są też i godni
Następny przykład wam to udowodni. »

Dwa lata temu, któż nie zapamięta?
Był u nas pomór na bydło rogate.
Niedopusć Boże! Pod Zielone Świąta
Chodź idź z torbami, choć porzucaj chatę,
Wszystko wypadło, ni wołu, ni krowy,
A tu Jan Świąty i podatek nowy! »

« Pan nasz, daj Boże żyć mu długie lata,
Zwołał gromadę przed swoje pałace,
I rzekł nam : « Dziaćki! podatkowa rata
Niech was nie nęka, ja ją sam zapłacę.
Bardziej dotkniętym, z mej obory, w darze,
Dam po jałowce i po byczków parze! »

« A prawda! prawda! » wtórzy zgraja z boku.
« U nas to samo przyznać się potrzeba,
Grad wybił zboże, w pozaprzeszłym roku,
Pan z swej stodoły nie żałował chleba.
Nie ma co mówić! Dobrzy są panowie
Et pijmy ojczy! Pijmy za ich zdrowie! »

« Ot wielka racja! » szydząc przerwie krzyki
Pierwszy orator, prorok nienawiści.
Czy ten co karmi a poi swe byki
Nie robi tego dla własnej korzyści?
Czy kto oś wozu smaruje słoniną,
Czyni to dla niej, czy dla nóg swych ino?

« Ot wielka racja! Myśmy w ręku Pana,
Wszystkiem : zastupem i sierpem i kosą,
Bez nas jak obraz dzisiaj wycackana,
Niejedna Pani, chodziłaby bosą,
Cóż więc dziwnego, że nasz głód nasyca?
Nie masz poddanych, nie masz i dziedzica! »

« Owe podatki, on sam je nakłada,
Więc z czegoż weźmie, kiedy nie ma z czego?
Gdy wszystkim chłopom było powypada
Któż wówczas zorze łany wielmożnego?
Ej wstyd się lasić jak pies na uwięzi
Pan choć najlepszy, jeszcze wart gałęzi! »

« Hola! no! hola! Mój zawzięty kumie! »

Rumiany tutaj krzyknie optymista

« Żal twój, twą boleść, każdy z nas rozumie

Żeś pokrzywdzonym, to rzecz oczywista

Lecz jeszcze z tego nie wynika wcale,

Byśmy się w twoim zanurzali szale! »

« Panom, powiadasz, ich interes każe,

Karmić swych chłopów, kiedy głód zawita,

Cóż ztąd? Dziękujmy za rzecz wziętą w darze.

O powód łaski głupiec tylko pyta.

« Ręko! myj rękę » powiada przysłowie

My służym panom, nam służą panowie! »

« Żle czasem z niemi, bez nich gorzej jeszcze,

Patrzcie na siola co na kaźń zabrane (g),

Jak one żyją w głowie nie pomieszcze;

Przez wszystkich bite, łupione, zdzierane;

Tam nie zły jeden, jak się u nas zdarzy,

A stu złych panów : sprawników, pisarzy. »

« Gdy głód dopomódz nie ma ci tam komu
Gdyś chory zdychaj nieznajdziesz doktora.
Podatki? Sprzedaj co tylko masz w domu,
Zapłacić musisz. U Panów pokora,
U Panów prośba znaczą coś, czasami;
Tam nią nie wskórasz! Tam syp wciąż rublami! »

A na to pierwszy, znów swoje wyrzuty
« Ale przynajmniej, twojego tam syna,
Kiedy jedynak nie wezmą w rekruty!
Ale przynajmniej, twoja tam dziewczyna,
Kiedy pocziwa i zostać nią woli,
Przez kaprys pański nie zagubi doli! »

« Żle wam bez panów? A więc żyjcie z niemi!
Ja już nie mogę! Siły me stargane!
Dopóki włóczę nogami staremi,
Póty ich łajać i kląć nie przestanę!
Póty mi bez nich lepiej w nędzy, w pocie,
Niżeli z niemi, choćby w szczerem złocie! »

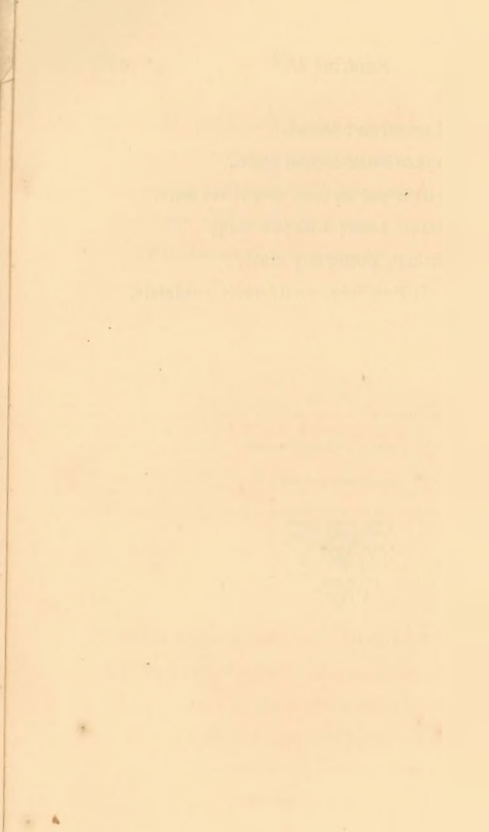
Długo tak jeszcze sprzeczały się strony,
Różne wśród tłumu wywołując szmery;
W tok ich dysputy sercem pogrążony,
Byłbym tam siedział godzin trzy i cztery;
Gdyby mi Maciek z powagą mentora,
Nie przypominał, że już jechać pora.

A więc chcąc nie chcąc dźwignąwszy się z ławy
Herszku! krzyknąłem. Podaj mi rachunek!
Za owies, siano, ośm wiązanek trawy,
Dziesiątek złotych, dwa za kwaterunek;
Nie nazbyt drogo na dzisiejsze czasy.
Więc zapłaciwszy siadłem do kolasy.

Lecz gdy rozparty na miękkim siedzeniu,
Ciągnąc z cybucha dym błękitno szary,
Puściłem wodze mojemu marzeniu;
To mi na myśli dziad ów stanął stary,
Jak za wstyd Marty i zagubę syna,
Cały ród panów łaje i przeklina.

I tak mi jakoś na sercu boleśnie
Tak mi się przykro i nie dobrze stało,
Żem fajkę rzucił, w pół na jaw, w pół we śnie,
Siedziałem marząc, resztę dnia już całą;
Płód mych refleksji, notowany stale,
W przyszłym, da Pan Bóg, znajdziecie rozdziale.







ROZDZIAŁ III.

Kiedyś, tam, dawno, w pierwszej dziejów dobie.
Gdzie? Niewiem. Mniejsza. Rzeczy to nie zmienia
Dwóch młodych braci zbudowało sobie
Małą chałupę nad brzegiem strumienia;
I żyć w niej nadal zamierzyło razem,
Braterskich uczuć i zgody obrazem.

Dzieląc się z sobą wszystkim, bez wyjątku ;
Podnosząc wzajem i trudy i prace,
Braterstwo nasze żyło w swym zakątku ;
I gdy bywało do drzwi zakołace,
Zysk, czy też strata, wspólne mając cele,
Wspólne też miało i żal i wesele.

Starszy brat silny, ruchliwy a żwawy
Z łukiem przez plecy szedł na polowanie ;
Młodszy zaś w domu, to pilnował stawy
To łatał odzież, to mościł posłanie,
Lub się też z pługiem krzątał koło roli,
W podziale pracy każdy wziął co woli.

Wracając z łowów, wracając ze żniwa
Dnia spędzonego spowiadali dzieje
« Oto co dała wspólna nasza niwa !
Oto co dały wspólne nasze knieje !
Spożywaj bracie ! Bierz braciszku drogi !
Wyborna pieczeń ! Wyborne pierogi ! »

I szło im wszystko jak się mówi z płatka
Bóg błogosawił braterskiej miłości,
W dostatek rosła, choć nie wielka chatka,
Już jej niejeden zły sąsiad zazdrości,
W niejednem sercu już złe chęci drzemią,
By pobić braci i zawładnąć ziemią.

Dobrym zamiarom nieprzyjazna pora,
Dojrzeć zupełnie zbyt często przeszkadza;
Zły zawsze znajdzie swego promotora,
Zły byle spłodzon już się w czyn przeradza;
Nasi dwaj bracia, tego co tu wtórzę,
Wkrótce na własnej doświadczyli skórze.

Brat starszy gniewny, oburzeniem blady
Widząc najeźdzców gęstniejące roje.
Rzekł do młodszego. « Darmo! nie ma rady
Trzeba się bronić, ja pójdę na boje.
A ty tymczasem pilnuj wspólnej grzędy,
Bym, gdy powrócę, miał odpocząć kędy. »

« Dobrze, » rzekł młodszy « Jdź kochany bracie!
Za nas obydwóch spiesz na walki pole!
A pomnij ufnie, iż tu czeka na cię
Pół miejsca w łóżku, pół miejsca przy stole.
Byśmy, gdy wrócisz po doświadczeń chwili,
Znów zażyć mogli, jakeśmy wprzód żyli!

Przyszły więc zatem napaście, wyprawy
W dalekie kraje, za góry, za wody,
Z każdej wycieczki coraz bardziej krwawy,
Wracał brat starszy do wspólnej zagrody,
I znosił z sobą, swe łupy wojenne.
Złoto, brylanty, perły drogocenne.

Młodszy zaś w domu wciąż strzeże gorliwie
Wspólnego dobra i plon swój rolniczy,
Stery zbóż różnych, zebrane na niwie,
Obok braterskich gromadzi zdobyczy
Mówowiąc do siebie: « Co moje, to jego
Któż wątpi w serce brata rodzzonego? »

Po długich chwilach, długich latach boju,
Błysnął nareszcie spokój pożądany,
W krwi zbitych wrogów skąpawszy się zdroju,
Wraca brat starszy na rodzinne łany
Młodszy z radością i dziękując Bogu,
Chlebem i solą, wita go u progu.

Ale brat starszy spojrział nań ukosem,
Na krzyk radości chłodne odrzekł słowo,
Na bankiet wiejski coś zakręcił nosem,
I cudzoziemską zaszwargotał mową;
Policzył w sterty poskładane zboże,
Potem spać idąc, całe zajął łoże.

Myśli brat młodszy « Zwyczajnie zmęczony
Złamany drogą. Niechaj zdrów spoczywa.
Wszak to nie żarty takie zwiedzić strony,
Jutro się weźmiem do łowów, do żniwa,
Dziś, Wielkie rzeczy! Nic nie robiąc prawie
Mogę noc jedną przespać się na ławie. »

Nazajutrz rano wraz o słońca wschodzie,
Wstaje brat młodszy : przyrządził śniadanie,
I poszedł z rydlem pracować w ogrodzie.
Starszy wciąż miękkie zalega poślanie,
A gdy nareszcie przebudzić się raczył,
Zmarszczył się znowu gdy brata zobaczył.

Ten się zadziwił, myśli : « Może chory,
Możem go czemści obraził niechcący. »
Więc pełne serca wiedzie rozhowory,
O zdrowie pyta lękliwy i drżący ;
Tamten ni słowa Spożył dary Boże,
I znowu do snu rzucił się na łoże.

Tak minął tydzień, tak drugi upływa,
Bez żadnej zmiany w braterskim stosunku ;
Starszy odpoczął, co to się nazywa,
Nie szczędząc łożka, ni jadła, ni trunku :
I nic nie robiąc, ale to nic wcale,
A kosztem brata wciąż żyjąc wspaniale.

Nie dbały o nic, nie suszący głowy,
Pierwszy do łóżka, pierwszy do jedzenia,
Gdy czasem pójdzie do lasu na łowy,
To tak od nudów, to tak od niechcenia;
I zdobycz swoją chowa, daj go katu
Nigdy zeń sprawy już nie zdając bratu.

Ten się pociesza jak umie, jak może,
Z natury cichy, miłośnik pokoju,
Czekając zmiany w braterskim humorze,
Pod nawałami nie upada znoju;
Pracuje za dwóch, szepcząc li na stronie :
« U pana brata coś za białe dłonie ! »

Lecz cierpliwości choć spore zasoby,
Gdy wciąż z nich czerpią, przebiorą się w końcu,
Pewnej przypuszczam poobiedniej doby,
Gdy starszy podjadł i grzał brzuch na słońcu
Młodszy nieśmiało « Co to » spytał « znaczy,
Że brat używa, a robić nie raczy ? »

Na to tak słuszne ze wszech miar pytanie,
Starszy podskoczył jakby oparzony ;
I miecz chwytając co wisiał na ścianie :
« Jaktó » wykrzyknął « gdym wszechświata strony
Krwi mej szlachetnej kraśną znaczył strugą
Toś ty spał wtedy spokojnie i długo ! »

« Jaktó » zawołał « kiedy ciągle hárce
Z niecných najezdców zawodziłem tłumem,
Toś ty przegrywał sobie na fujarce
Albo też w karczmie miód popijał z kumem.
Gdym spał na ziemi, pod niebios namiotem
Czy w chacie ciepło tyś pamiętał o tem ! »

« Jaktó » wciąż wrzeszczał « gdy wojna skończona
Gdy mnie z kolei odpocząć należy ;
Wygrzane ciepłem rycerskiego łona,
To plemię chamskie zęby na mnie szczyrzy,
Ta czerń niewdzięczna, żem jej bronił, rada,
Pracować nie chce i o buntach gada ! »

« Hola braciszku! » głęboko wzruszony
Przerwie brat młodszy « Braciszku powoli!
Kiedyś ty poszedł obce zwiedzać strony,
Jam tu pozostał na rodzinnej roli;
Tyś lał krew swoją, jam lał pot mej skroni,
Tobie miecz ciążył, mnie sierp ciążył w dłoni! »

« Jeśliś ty więcej ucierpiał od brata
Głodu i chłodu, znojów i boleści,
Za to na tobie dziś bogatsza szata,
Za to dłoń twoja większą zdobycz pieści;
Ja na mem skromnem trwając stanowisku,
Mniej mozem przeniósł, mniej też miałem zysku.

Zwiesz się szlachetnym, a zaś czerni mianem
Brata twojego obdarzasz jedynie,
Czy odkądś został walecznym hetmanem,
Krew jakaś inna w żyłach twoich płynie?
Czy odkądś z wrogiem straszne zawiódł boje,
Bóg z innej gliny ciało zlepił twoje? »

« O nie braciszku ! Myśmy równi sobie,
W obliczu Boga i w obliczu pracy;
Równe mam prawo do tego co zrobię,
Jak wy do łupów panowie wojacy;
I wyraz « bunty » nie ma tam znaczenia,
Gdzie do bratniego brat mówi sumienia. »

Gdybyś był z bojów powrócił bez nogi,
Kaleką, starcem, co go karmić trzeba,
Raczejbym umarł, wierz braciszku drogi,
Niż ci odmówił łaskawego chleba,
Lecz gdy tak nie jest, a to na sumienie,
Pracuj gdyś głodny i gdy masz pragnienie ! »

Na taką prawdą tryskającą mowę,
Brat starszy zamiast przyznać się do winy,
Pełen wściekłości dumnie wznosząc głowę,
« Co mi masz moje » rzekł « dyktować czyny,
Ty niewolniku ! Lepiej, gdyś jest mężem,
Prawa mi swoje udowodni orężem ! »

Mówiąc to z mieczem ku niemu podskoczy,
Próżno nasz rolnik : brata święte miano,
I prawd tysiące stawia mu przed oczy,
Próżno szczerością czułą, niekłamana
Chce go przebłagać, widząc, iż wciąż goni,
Rad nie rad także, rzucił się do broni.

Łatwo przewidzieć koniec tego boju :
Wojak przywykły, wprawny do oręża,
Cichego chłopka wyznawcę pokoju,
Rzecz naturalna bez trudu zwycięża,
I powaliwszy na ziemię, bez zwłoki,
Takie, słuchajcie, głosi mu wyroki :

« Będziesz pracował w pocie twego czoła,
Będziesz pracował od rana do rana,
Ile duch zmoże i ciało podola,
Dla mnie ! Czy słyszysz ? Dla władzcy, dla pana !
Gotów się rzucić choćby i w płomienie,
Na mój znak jeden, na moje skinienie

« Wszystko co z rąk ci, lub z głowy wybieży,
Natychmiast moją stanie się własnością,
Gdy będę kontent, to z moich talerzy,
Niedogryzioną cisnę tobie kością;
Lecz tylko z łaski, nie z żadnego prawa,
Ma chęć — twój zakon, mój kaprys — ustawa!

« Sprzedam cię, kupię, dam, daruję komu,
Zbiję, zabiję, wolna mi jest wola;
Tyś mą własnością jak sprzęt tego domu,
Jak moje trzody i jak moje pola,
Tyś mą własnością, a nie masz nic swego,
Ni twojej żony, ni dziecka twojego! »

« Bo, kiedym zwiedzał wszystkie świata kraje,
Wszędzie przed silnym słaby się tam kłoni,
I swego władzcę w zwycięzcy uznaje;
Tyś tu bezbronny, ja miecz trzymam w dłoni,
Więc mi ulegnij bez wrzawy, bez krzyku,
Lub strzeż się! Biada! Ruszaj, niewolniku! »

Cóż było robić? Tam gdzie moc jest prawem,
Uledez potrzeba. Więc i chłop nasz, zatem,
Choć czas niejakiś w obląkaniu krwawem,
Rwał się do buntu i do walki z bratem;
Uległ na końcu. Powoli, powoli,
Człowiek przywyka nawet do niewoli.

« On do niej przywykł, na dół schylił skronie,
Kark swój oswoił z całodziennem zgięciem,
Uczucia ludzkie zagłuszywszy w łonie,
Stał się maszyną i stał się bydlęciem;
Czeka. A czego? Ot niczego zgola,
Śmierci, braciszek wziąć mu jej nie zdoła.

Starszy panuje « Hulaj! » woła « duszo!
Wszelkich wszechwładztwa użyjmy zachcianek
Niech inni za mnie w boju kopje kruszą,
Ja chcę się bawić! Bom ja wolny panek! »
Więc je i pije popuszcza pasa,
Nieprzymierzając jak za króla Sasa.

Starszy panuje. W zwięzłe, krótkie, słowa,
Reszty dni jego streścimy kartę całą :
Od zbytku dumy cięższe mu głowa
Od zbytku woli cięższe mu ciało,
Serce gdzieś tonie w pełnym kuflu wina
J gdy na nowo wojna się zaczyna,

Gdy wróg na nowo do chaty się garnie,
On, by ocalić przemoc swą nad bratem,
On, by ocalić trzos swój i spiżarnię ;
Uderza czołem przed najezdcą katem ;
Robi z nim układ : « Przysięgnę ci wiarę,
Byleś me prawa uszanował stare ! »

Wróg krzyczy : « Zgoda ! » I tak pięknie, ładnie,
Magnat nasz zwleka królewskie swe szaty ;
Cóż ztąd że nad nim obce plemię władnie,
On niemniej przeto panem swojej chaty ;
Ze kark mu własny obca stopa gniece,
On to odbija na braterskim grzbiecie.

Stara to powieść, niewarta wspomnienia,
Lat sześćdziesięciu, szaro-żółte pyły
Sniedź niepamięci i pleśń zadawnienia,
Smętne jej karty dawno już pokryły ;
A jednak zawsze, przyznajcie słuchacze,
Na dźwięk jej gorzki, coś nam w sercu płacze.

A jednak zawsze los młodszego brata,
Krwawym wyrzutem piersi nasze toczy.
Jednak gdy przy nas ludzie zganią kata
Wstydem rumiani opuszczamy oczy ;
Jednak nam zawsze, tej mówię, powieści,
Bez głuchej, wewnątrz, nie słuchać boleści.

Prócz kilku rzadkich, gdzieś tam domatorów,
Kilku jespanów dawnego obrządku,
Statu quo wiernych tych adoratorów,
Myślących tylko o własnym żołądku ;
Część przeważniejsza, część można w narodzie,
Wie i to dobrze, kędy sęk ją bodzie.

Kiedy więc zgadła gdzie wina, gdzie kara,
Gdy jej przykładem obce służą kraje,
Czemuż u diaska wyrwać się nie stara,
Kolca co stąpać nogom jej nie daje?
Miast na świat cały skargą rzucać krwawą,
Czem do kuracji nie bierze się żwawo?

Inne narody na swych dziejów karcie,
Takie i gorsze posiadały wrzody ;
Mówią dziś o nich śmiało i otwarcie,
Widząc ich skutki, zgłębiają powody ;
O wyleczonej rzecz wiodąc chorobie.
« Co było nie jest » powtarzają sobie.

A my? Nie wcale! My wciąż pełni trwogi,
Na wszczęcie kwestji nie staje nam woli,
Jak owe dziecko zadraśniętej nogi,
Opatrzeć nie chcąc, wołamy : « Aj! Boli! »
I odpychając lekarstwo jedyne,
Wolemy cierpieć wieczność, niż godzinę.

« Jakoś to będzie. » Oto nasze ale,
Ta ślamazarność, to rąk opuszczanie,
W opatrność Bożą wierzymy zuchwale
« Bóg skinie! » mówim, « i wszystko się stanie, »
O nie! Nieprawda! Bóg mądry nie radzi,
Trzodzie mazgajów, a chętnej czeladzi.

Tak mało trzeba, kuracja tak łatwa,
Po chwilce pracy, po poświęceń chwili;
Trudny na pozór węzeł się rozgmatwa,
Byleśmy tylko nitkę uchwycili;
Jak ją uchwycić, doświadczeniem blady
Radę wam niosę! Posłuchajcie rady!

Rada to, z góry uprzedzam, prostacza
Nie wysmażona w książek alembiku,
A płód serdecznych rozmyślań oracza,
Który klęsk w kraju przebywszy bez liku,
Zmędrzał, zaiste, zmarszczki lic dowiodą,
Niejednym bolem i niejedną szkodą.

I temci lepsza, że w Polsce poczęta,
Ze nie zamorskich filozofów dziecię,
Ze nie Niemiecką teorją nadęta ;
Temci ją chętniej do serca weźmiecie,
Jż dziad sędziwy, co ją śle z za trumny,
Żył, cierpiał z wami i umarł tem dumny.

Oto ma rada : Każden z właścicieli,
Względnie do mienia, pewną część dochodu,
Choćby nie wielką, niech rocznie oddzieli,
I do skarbony rzuci bez zawodu ;
Przez lat pięćdziesiąt, przez lat sto, gdy trzeba,
Zacną ofiarę powrócą mu nieba.

Kapitał wspólny, zwolna uciulany,
Całego kraju każdorocznym skrzętem,
Na przedsięwzięcia różne używany,
J dokładanym mnożony procentem. '
Pod koniec wieku, świętej pełni dumy,
Do miliardowej podźwigniemy summy.

I nim, naówczas, kiedy przyjdzie pora,
Chłopkom oddaną, splacim sobie ziemię;
Z piersi nam spadnie niewolnictwa zmora;
Żal ludu ku nam na wieki zadrzemie;
W Panu możnego widząc li sąsiada,
Dłoń miru, sielska, poda mu gromada.

Zysk w tem podwójny : ten, naprzód, duchowy,
Który z wolności braterskiej wypłynie;
Ten ziemski, potem, z summy wykupowej,
Co kapitałem wypełni nam skrzynie;
Rzeczą, jakowa, przyznajcie się sami,
« Rara » jest « avis » między Polakami.

Gdy ustęp ziemi za jednym zamachem,
Mógłby zbyt silne wywołać wstrząśnienia,
Gdy ściągnąć mocen, myśl przejmuje strachem,
Ofiarniczego nędzę pokolenia;
To rzecz taż sama, zdziałana powoli,
Uniknąć złego, choć w części pozwoli.

Wraz oddać wszystko z czem się wieki żyło,
Połowy razem zrzec się majątności,
Toby zapewne bohaterstwem było,
I czynem wielkiej, a zacnej miłości,
Lecz od milionów trudno żądać tego,
Na co stać duszy, jednej gdzieś, świętego!

Cząstką zaś pewną rocznej swej intraty,
Urwaną zbyt kom, próżności, wygodzie,
Setką ubogi, tysiącem bogaty,
Póświęcić gwoli braterskiej swobodzie;
Na to, śmiem ufać, wierzę, żem nie w błędzie,
Każdy się Polak, bez trudu zdobędzie,

Zwłaszcza, gdy ceną skromnej tej ofiary,
Byle ją przyniósł we właściwej dobie,
A z sercem pełnem szczeroty a wiary,
Bez wielkich trudów, to zdobędzie sobie,
Co innym ludom, ciężkich klęsk nie mało
Morza krwi całe i łez kosztowało.

Oto ma rada. Czy jej kraj posłucha (i),
Czy innej jakiej, praktyczniejszej może,
Użyczyć raczy łaskawego ucha.

Wolna mu wola! Tyś mi świadkiem Boże!
Nie miłość własna w tej mię kwestji łechce;
Byle kraj robił, niech robi jak zechce!

Byle kraj robił, byle jak należy,
Do żywotnego rzucił się zadania,
Byle chciał pojąć, że w niem bodaj leży,
Klucz możebnego, kiedyś, zmartwychwstania;
Bo pomyślniejszej nie warci są doli,
Ci, co swych braci trzymają w niewoli!

Byle kraj robił, byle robił skoro,
Nim się wrogowie ze snu nie obudzą,
Nim nam oręża z ręki nie odbiorą,
Nim go podstępnie przeciw nam nie zwrócą,
Do czary jądów, sączonych kolejną,
Krwi bratobójczej, za nim nie doleją.

Okropna walka, ! Brat idzie na brata!
Nóż co się w ojca krwi skąpie czerwonej,
Połyska w ręku dziecka jego, kata!
Och i winnemi obie również strony!
Och i potępień równej godni miary,
Ślepi oprawcy i ślepe ofiary!

Bo gdy o winach mówić już wypada,
A to plam czarnych nie brak nam na duszy,
I Bóg wie tylko, gdzie większa szkarada,
Bóg wie, błąd który większych wart katuszy,
Czy ten, co dziełem godziny jest szafu?
Czy ten co pełnion, prawnie był, pomału?

Jam szlachcic. Pewno. Od Jagiły Króla,
Dwudziestu kilku już pokoleń wiankiem,
Krwi mej rycerskiej, nic jej nie zamula,
Przed żadnym mi się nie powstydzę pankiem;
Szlachectwo zatem, gdym kura czubata,
Stronnego we mnie liczy adwokata.

A jednak, jednak, miłość prawdy święta,
Błędów mi jego zakryć nie pozwala,
Jeżeli Polska hańby dźwiga pęta
To nie na Niemca i nie na Moskala,
Skargi nam szerzyć, a na samych siebie,
Bośmy hulali na matki pogrzebie!

Niemiec i Moskal zwyczajnie wrogowie,
W imię własnego skrzywdzili nas zysku;
Którenże naród czystym się opowie?
Którenże nigdy w zaborów półmisku,
Nie zmaczał ręki, na cudze żarty?
Hiszpan? Czy Francuz? Czy Anglik? Et żarty!

A więc nie dziwo. Lecz my, szlachty zgraja,
My pierwородne tej ojczyzny dzieci,
Cośmy, gdy pycha zmysły nam upaja,
Samych że siebie spędzali do sieci;
O kieszeń trwoźni, cośmy resztę ludu,
Od zbawiennego odganiali trudu!

My, szlachty zgraja! Co zamknąwszy w sobie,
Przeszłość i przyszłość tej nieszczęsnej ziemi,
Na jej grobowcu w zapóźnej żałobie,
Siedliśmy płakać łzami niewczesnemi;
Rwąc się do powstań z olbrzymim łoskotem,
A braci dusząc, jak przedtem, tak potem.

Czegośmy warci? My pierwsi w honorze,
Rzeczypospolitej my istotni króle,
Co to o dawnym blasku a splendorze,
Dotychczas jeszcze wspominamy czule;
Czegośmy warci? My dudki, my pawie,
Za zbrodnie, błędy, o których tu prawię?

Za bezrząd, nieład, skalane sumienie,
Sobkowność, głupstwo, sprzedajność, niewiarę,
Za własnych braci bezwstydną gnębienie
Grzechy dzisiejsze, wczorajsze i stare,
Bijąc się w piersi, w gniewów Bożych chwili,
To mamy, mówmy, cośmy zasłużyli.

Były wyjątki. Były, bez wątpienia,
Trzeciego Maja witaj święte echo!
Witajcie zacne o Barze wspomnienia,
Zbolałej duszy pośpieszcie z pociechą!
Były wyjątki. Gdyby ich nie było,
Kogóżby miano « Polak » nie wstydziło?!

Były wyjątki : w piekielnej symfonii,
Z wycia szakali i z padalczych syków,
Kilka się nutek niebiańskiej harmonji,
Kilka się ludzkich odezwało krzyków ;
Były wyjątki ! O gdyby nie one,
Któżby chciał dźwigać życie to spodlone ?

Choć dąb usycha, póki stać mu rdzeni
Na dzień przed śmiercią, u dołu, u szczytu,
Kilku listkami jeszcze się zieleni
Ostatniem słowem gasnącego bytu ;
Boję się bracia, by wyjątki owe,
Jako te liście nie były dębowe !

Ó że tak nie jest, ludu przodownicy!
Wierzyłbym pragnął! Utrwalcie mą wiarę!
Zanim ze łzami sromu i tęsknicy,
Do trumny kości położę me stare,
Niech ujrzę przedtem, waszych czynów plony
Wschód promieniami odrodzin złożony!

A te nie mogą błyszczyć nad narodem,
Co się upiera przy błędach przeszłości;
A te nie mogą niewoli być płodem,
Wolność niosące rodzą się z wolności;
A te nie idą przywilejów drogą,
Kwitną dla wszystkich, lub też dla nikogo!

Na milionowych fundamentach ludu,
Marzona przyszłość, gdy ma być, powstanie;
Lub żal się Boże daremnego trudu!
Bezsilne w pętach z wrogiem szamotanie,
Garść szlachty drobną, nim upłyną lata,
Pod nóż ślepego zawiedzie li brata!

Chryste! O Chryste! Gdyby to być miało!
Gdyby to widmo trwożnej wyobraźni,
Ohydne faktu przyoblekłszy ciało,
Do win wiekowych rzuciło się kaźni!
Myśl sama duszę w bólu chwyta kleszcze,
O mój narodzie! Zbudź się! Pora jeszcze!

W takie bolesne mary pogrążony,
Gniewny lub smutny według myśli toku,
Ani pamiętam co przebyte strony,
Godnego wspomnień okazały oku;
Nic nie widziałem. Dzień zbiegał tymczasem,
I znów się słońce schowało za lasem.

Tyle wiem tylko, iż obcy zadumie,
Maciek wciąż swego swego pilnował rzemiosła,
Iż poganiana (jak to zuch ten umie)
Żwawo nas, szybko, czwórka koni niosła;
I że gdym memi bawił się myślami,
Spory kęs kraju pozostał za nami.

Źłem dzień mój spędził. Dąsałem się srodze,
Wszystkom i wszystkim potępił szeregiem.
W pierwszej gdzieś karczmie spotkanej po drodze,
Czy słyszysz Maćku? Staniemy noclegiem.
Ku czytelników powinnej usługę,
Weselszym, może, jutro się obudzę.





ROZDZIAŁ IV

Świta. Wstawajmy, Sen pokrzepił ciało,
Człowiek odważniej w około spoziera,
Na to, co wczoraj zgubą mu się zdało,
Patrząc dziś zbliska, powiada : chimera!
Gotów się zaprzeć, odrosły już rogi,
Doznanych strachów i przebytej trwogi.

Chwała bądź Bogu za ten przymiot ducha,
Lada co, często, w zwątpieniu go krzepi,
Lada co w górę dzwiga z pod obucha,
Choć źle jest dzisiaj, jutro będzie lepiej,
Sto, tysiąc razy, zawiedzione serce,
Nie daje zgasnąć nadziei iskierce.

I komuż zresztą nie rozjaśni twarzy,
Pogodne na wsi, wśród boru, świtanie?
Do braci strzelców, braci gospodarzy,
Rzecz naturalna, zwracam to pytanie;
Miejskich bo panów przekonywać o tem,
Daremnym, sędzę, byłoby kłopotem.

Karczemka, kędy, wczoraj nas, wieczorem,
Silnie zhasane dociągnęły szkapy,
Stała przy trakcie, okolona borem,
Gdzie, zbyt dokładnej nie niosę wam mappy;
Zdała od ludzi, więc mi duszą całą,
Tonąć w naturze nic nie przeszkadzało.

Nie chcąc już dłużej w dusznej ślęczyć izbie
Z fałtu bo bez niej to ja ani kroku,
Szedłem na zewnątrz i siadłszy na przyzbie (k)
Hojnie a szczerze użyłem widoku,
Cichej pustyńki, gdy ta, latem, z rana,
Budzi się ze snu rosą wykąpana.

Niebo na wschodzie cielisto różowe,
Jak zasromanej buziaczek pasterki,
Ciemno zielone, szaro żółte, płowe,
Na tle się jego odbijają świerki
Tak wyraziście, dobitnie, dokładnie,
Iż każdą gałąź rozróżnisz w nich snadnie.

Dolem noc jeszcze. Błotko, tam, o staje,
Drzemie, mgły płachtą okutane brudną,
Nie wziąłem strzelby! Serce mi się kraje!
O lepszy moment dla myśliwca trudno.
Jak ten, gdy słońce, spytajcie się ludzi,
W krzakach łożyny, błotne ptastwo zbudzi.

Głucho w okolo. Wśród tej wielkiej ciszy,
Z pola, co blisko, jak widać, za lasem,
Ucho rolnika przywykło, więc słyszy,
Śpiew skowroneczka dolatuje czasem
Drobne stworzenie, pierwsze, o rozświcie,
Dzwoni cześć Panu, pławiąc się w błękanie.

Są, mówią, ludzie, kędyś tam, daleko,
W cywilizacją szczytującym się świecie,
Co te ptaszęta jak gdyby nic, pieką,
I jak nic, smacznie zjadają w pasztecie (1),
Takich żarłoków, jabym, za ich żery,
Jak nic, dalipan, skazał na galery!

Śpiewak niw sielskich, przyjaciel oracza,
Co od jaskółki a i od bociana,
Wiernością wiosce, pięknie się odznacza,
Kiedy ta drzemie, śniegami zawiana,
Piewco « Wiesława! » zadrzyj z oburzeniem!
Zgrai mieszczuchów służy pozywieniem.

Kiedy łakomej człowieczeństwa gębie,
Niewinnych ofiar trzeba co nie miara,
Więc są przepiórki, są dzikie gołębie,
Blotnych zarośli jest więc gawieź szara,
Roi się ptastwo, co niszczy zasiewy,
Wróbli nareszcie pełne boru krzewy.

Ale skowronka nie tykać by zgoła,
W imie dawnego z rolnictwem przymierza;
Jeślibym widział, że kto z mego sioła,
Do ptaszka, przy mnie, strzelać się zamierza,
A to, dalipan, tak, jakem myśliwy,
Suta-bym łaźnię sprawił mu z pokrzywy.

Tych, którzy na wieś miotając potwarzą,
A miejskie ciągle wynosząc rozkosze,
Ze monotonna, twierdzić się odważą;
Niech patrzą ze mną, niech słuchają, proszę;
Bo, gdym o ptaszkach prawił, nie bez racji,
Dziwna w krąg zaszła zmiana dekoracji.

Słońca sztukmistrza słuchając rozkazu,
Zwolna, powoli, co moment, co chwila,
Nieznany jakiś kącik krajobrazu,
Z pad płaszcza nocy na jaw się wychyla;
Natura senne porzuciwszy leże,
Kąpiel ze złota i z lazurów bierze.

Niebo to coraz w głębszy błękit wpada
Po niem mkną chmurki wiatrem rozproszone,
Rzekłbyś, przelękle nocnych ptaków stada,
Przed słońcem w cieniów pierszchające stronę;
Tak, gdy zaświta dzień prawdy zaznanej,
Wcześniej, czy później, pierzchną kłamstw tumany.

Jakie kontrasty, jaka gamma blasku!
Tu morze światła, gdzie zaś drzew sklepienie,
Białe tam kółka, na brunatnym piasku,
Zbłąkane słońca rysują promienie;
Figlarny wietrzyk, gdy gałęzie zwiera
Moc takich kótek tworzy lub zaciera.

Aż oczy bolą od tych barw igrzyska,
Wszystko płomieniem staje się w oddali,
Kropelka rosy krocią tęcz połyska
Krocią brylantów piasek się krysztali,
Odblask mi siwą opromienia głowę.
W złocie, w purpurze, udaję Jehowę.

Gdzie rzucić okiem, bez wyjątku, wszędzie,
Życie się jawi, kiełkuje, zaczyna,
Tam srebrną nitkę drobny pajak przędzie,
Tam pod motylem źdźbło się trawy zgina,
Roje much w wietrznym płasają balecie,
Księga natury otwarta. Spiesz dziecię!

I jaka księga! Nic tam w niej nie kłamię,
Nic nie nasycą fałszem a obłudą.
Niezgiętej prawdy wszystko nosi znamię,
Wszystko jest faktem. A jednak, o cudo!
Rzeczywistości bez granic w niej skala,
Gdyś marzyć chętny, marzyć ci pozwala!

Marzyć, powiadam, bo czyjaż myśl, czyja?
Czyjej skrzydlatej polot wyobraźni,
Do szczytów prawdy, w naturze się wzbija?
Bujaj sokole! Bujaj bez bojaźni!
To co wymarzysz, będzie zgoła niczem,
Przed nieskończonem istnienia obliczem (1)

I tem to właśnie (dodaję nawiasem)
Tem wyższość sioła nad miastem się znaczy,
Ze choć tam u was, ot weselej, czasem,
Tłumniej a szumniej, niż u nas oraczy;
To u nas za to pocciwiej a szczyrzej,
Bo i przyrody, bo i Boga bliżej!

Dobrzem uczynił zwlekając się z łoża.
Widok natury duszę mi ukoił,
Dnia pogodnego świtająca zorza,
Roźwiała strachy, com je wczoraj roił,
Bóg da! Nim skończę życie to tułacze,
Może i inną jutrzenkę zobaczę.

W dalszą więc drogę! Gdym bał sprawiał oku,
Maciek pocziwiec nie marnował czasu,
Konie nakarmił. Zdrowe. Nie uroku!
Lekko dobiegną do miejsca popasu,
Zanim się słońce podniesie na tyle,
Trzy albo cztery ukatamy mile.

Jeszcze więc jednym pożegnam spojrzeniem,
Cichą pustyńkę, co mię pocieszyła,
Kiedym się z ciężkiem pasował strapieniem,
I ładnych rzeczy szepnąwszy jej siła,
Gdy się już Maciek, widzę, niecierpliwi,
Więc do kolasy pakuję się żywiej.

Jedziemy Fajka kurzy się wybornie,
Nałóg to. Cóż ztąd? Nikomu nie szkodzi!
Wam, co przy pannaeh łaszczycie się dwornie,
Wam, z nim zapewne, nie do twarzy, młodzi!
Lecz mnie, staremu! Spuścizna żołnierki!
Lepszać od flaszki i od tabakierki.

Byłbym niewdzięcznym, serca dowiódł braku
Gdybym się wiernej zaparł towarzyski;
Och, nie na jednym ona mi biwaku,
Gdy mróz doskwierał, gdy głód ścisnął kiszki,
Błękitny dymek puszczał w przestrzenie,
Za kozuch stała i za pożywienie.

Koń, strzelba, fajka, trzech tych bagateli,
Któż wiarusowi nie przebaczy łącno?
Ci, co gawędy dotąd słuchać chcieli,
Byleb ta prawdę powiadała zacną;
Nie będą, biednej, stawić się okuniem,
Bo trąci zlekka stajnią a tytuniem.

Konie parskają. Znak dobry i bardzo.
Choć od przesądów jak mogę się bronię,
Niektórym jednak (mędrkowie mną wzgardzą)
Ulegam czasem (przyznam się na stronie);
W liczbie tych właśnie, na ich czele, stanie,
Dziecinna wiara w mych szkapiąt parskanie.

Ja to sprawdziłem własnem doświadczeniem,
Z czasów wojaczki, a i nieraz, potem ;
Gdy koń mój parska, z żadnem mi strapieniem
Z żadnym się, w drodze, nie spotkać kłopotem ;
Gdy zaś przeciwnie, smutny, zwiesza głowę,
Choć wracaj nazad ! Podróże niezdrowe !

Czem by się tego (pytam uniżenie)
Węzłem sympatji tłumaczyć nie dało,
Między zwierzęciem wdzięcznem za karmienie,
A myślą Pana, o byt jego dbałą ?
Jakem to mówił, jak to tu powtórzę,
Nikt wszechtajników nie zbadał w naturze,

A że węch bydła, bardziej naostrzony,
Wietrzy tam wroga, gdzie nasz nic nie czuje,
Na to się sądzą wszystkie zgodzą strony,
To już nauka za pewnik przyjmuje ;
A więc ? A zatem ? Trochę dobrej chęci,
A śmieszny przesąd, prawdą się wyświéci.

Bądź co bądź, zresztą, jakby to nie było,
 Śmieć się kto pragnie, ja ufam i wierzę,
 Że mi dzień cały zbiegnie dobrze, miło,
 I że spokojnym rzucę się na leże;
 Parskajcie zdrowe, poczciwe koniska,
 Co dzisiaj Maćku, to nie tknij biczyska!

Jedziemy. Zwolna. Spieszyć się? A czego?
 Życie człowiecze i tak dość jest krótkiem,
 Umknąć od dobra, nie dognać lepszego,
 Zbyt nich pośpiechów zwykłym bywa skutkiem;
 Pomnę przypowieść we Włoszech słyszaną:
 Kto chce zajść *sano*, niechaj chodzi *piano*.

Nigdy ja w życiu nie jeździł koleją,
 Szukać jej kędyś nie pójdę umyślnie,
 A prochy moje wiatry wprzód rozwieją,
 Zanim ten postęć i u nas zabłyśnie;
 Więć choć nie prorok, prorokuję śmiało,
 Iż, bym nią jeździł podobieństwa mało.

Lecz między nami, mówiąc poufale,
Bylebym innych nie znał nigdy braków,
To na ten oto nie bardzo się żalę,
Wolęć ja wolę czwórkę moich szpaków,
Przenoszę turkot mej dryndulki starej,
Nad huk pociągów i nad gwizdy pary.

Postęp to wielki. Rzecz niezaprzeczona,
Gdybym był kupcem, lub też dyplomata,
Gdyby mi chwilka zyskana, stracona,
Śmiała się zyskiem, lub groziła stratą
To co innego. Gnan potrzebą srogą,
Wzdychałbym może za żelazną drogą.

Alem ja szlachcic, hreczkosiej i basta.
Co mi tam po tem, że moc zbiegnę kraju?
Ze jak pakunek dolecę do miasta,
Nic nie dojrzawszy ni z pola ni z gaju,
Nic z sielskich rzeczy szczerze ukochanych,
Wieczyste nowych, wiecznie pożądanych?

To mi wygrana! Zyskam tydzień czasu,
A stracę tysiąc używania chwilek;
Miast jako dzisiaj łąkami, wśród lasu,
Ubiedz trzy, cztery, pięć, gdy trzeba, milek,
Patrząc na niebo, na ludzi, na konie,
Zbiegnę ich setkę, lecz w dusznym wagonie.

Miast jako dzisiaj, bezpiecznie, spokojnie,
Łąk ukwieconych oddychać zapachem,
Tam, dymu węgla nałykałbym hojnie,
I o swój żywot drzał przejęty strachem;
Bo jak to wczoraj czytałem w gazecie,
Gęste przypadki z kolei na świecie.

A niech ich licho! Przepraszam! Kwituję!
Niech zdrowo wożą tych komu przyjemnie,
Lecz, to im wcale ceny nie ujmuje
Lecz się obejdą i łatwo, bezemnie,
W starej kolasie i zawsze i wszędzie,
Póki jej stanic, starzec jeździć będzie.

Że proces w Wilnie a w domu mam żniwa,
Teraz dopiero pomyślałem o tem,
Że, gdyby kolej gwizdnęła tu, żywa,
W tydzień niespełna, mógłbym być z powrotem,
Godząc po cichu, bez trudów, bez wrzawy,
Kłopot sądowy z rolniczemi sprawy.

I myśl mi owa na twarz zachmurzoną,
Wstydlive, raptem, wyzwala szkarłaty;
Więc, bym rzecz uznał dobrze zasłużoną,
Własnych mi zysków, własnej trzeba straty?
Czy zaś kto inny ciągnie z niej korzyście,
Brzydkiemu o to mniejsza egoiście?

Zgrzeszyłem! Panie! Więc w piersi się biję!
Niech kraj kolei buduje bez miary,
Gdy na Polesiu parociąg zawyje,
A to dalipan ruszę się, choć stary;
I karcąc w sobie sobkowstwa szkaradę,
Pierwszym pociągiem, gdzie chcecie, pojedę!

Ale tymczasem wolno mi jest sądzę,
Gustować w wdziękach kolasy staruszki,
Przed nikim tuszę i w niczem nie zbłądzę,
Gdy o jej miękkie oparty poduszki,
Zapomnę, cudom dziwiąc się natury,
O czekających nudach procedury.

Co się żniw tyćze, to jużem te Bogu,
Za moje grzechy poświęcił w ofierze,
Ot myślę sobie, spaliły się w stogu,
Grad je wymłócił i mniejszy żal bierze
Na co to próżnym dręczyć się kłopotem?
Westchnąć raz, drugi i nie myśleć o tem!

Jedziemy. Zwolna. Słoneczko przypieka.
Co to się błyszczy w dolinie, przed nami?
Rzekłbyś wąż srebrny? Aha! Widzę! Rzeka!
A i prom na niej! Dwoma go linami,
Wbrew biegom wodnym, przewoźnik prowadzi:
Wysiądźmy lepiej Bezpieczeństwo radzi.

Stój! Stój! Czekaście! Ktoś nadjeżdża jeszcze!
Wielka karoca! Szóstka koni! Lecą!
Ja z moją bryką z brzegu się pomieszczę,
Trzeba przybyłym miejsca zrobić nieco;
Wielmożni jacyś. Lokaj z gęstą miną,
Mówiąc do Pani, nazwał ją : hrabiną.

Ot, wysiadają. Towarzystwo liczne,
Pan w pewnym wieku, pani już nie młoda,
I w lat rozkwicie, dwie panienki śliczne,
Śmieją się! Śmieją! Zabawia je woda,
Prom, przewoźnicy, wszystko, hej, do koła,
Racją ci śmiechu, młodości wesoła!

Ot już im w oko moje wpadły konie,
(A bez przechwałek, mówiąc między nami,
Za te ostatnie nigdy się nie spłonię)
Ot już białemi głaszczą je rączkami,
Już je hołubią, aż sercu pociecha!
Patrzę na Maćka, Maciek się uśmiecha!

Podchodzę zatem. Grzeczność tak kazała,
I komplementik skleciwszy im prędko,
Gdy kwadrans czasu, przed nami, bez mała,
Szukam pretekstu do dalszej gawędki;
Panienki grzecznie skłoniły mi głowę,
I cudzoziemską szepnęły coś mową.

Cóż to? Czy Niemki? Patrzą. Na karcie,
Herb Polski błyszczący (na herbach się znamy)
Słyszałem ucho nie myli mię przecie?
Lokaj po polsku przemówił do damy;
Tak! To są Polki! W pierś przyjąłem ranę!
A po modnemu tylko wychowane!

Zawiodły wróżby! Przez resztę dnia całą
Znowu się zżymać i dąsać jest czego!
Niebo mej duszy znów się zamazało;
Zamiast słoneczka, dotąd pogodnego,
Widnieją na niem, chmury smutku czarne,
Piorunem gniewu, deszczem łez ciężarne!

Jak bo nie płakać nad tem pokoleniem,
Co dobrowolnie praw się bytu zrzeka,
Co grób swój własny przywała kamieniem?
Co w obec wroga, ten szydzi zdaleka;
Z pod stopy sobie, w samobójczym szale,
Deszczkę ratunku wytrąca zuchwale!

Wszystko nam wzięto! Nic swego nie mamy!
Prawa, broń, skarby, wiarę, Boga, imię!
Wszystko piekielne pochłonęły bramy!
Na gruzach kraju, w pogorzeliisk dymie,
Co nam zostało, wszechgwałtów dowodem,
Świadectwem tego, żeśmy też narodem?!

Co nam zostało, czego wróg nie zmoże,
Byleśmy tylko pomódz mu nie chcieli?
Co nam zostało, co słowem dziś, może,
Byle przetrwało, w czyn się jutro wcieli?
Co nam zostało, z exystencji, z bytu,
Ziarnkiem, nasieniem, na chwilę odkwitu?

Język ojczysty! Mowa ojców święta!
Nić, która przeszłość z przyszłością zespala!
Rękojmia tego, żeśmy nie zwierzęta!
Człowieczych pojęć i uczuć w nas skala!
Dowód, że myslim, że nie jak papugi,
Li powtarzamy, co wymyślił drugi!

Język ojczysty! coś co nie umiera,
Chyba przez swoich zasamobójzone!
Coś, co jednostkę wytwarza w nas z zera!
Coś, co cywizmu wkłada nam koronę!
Bez czego, prostym stosunków wynikiem,
Choć nie w kajdanach, jest się niewolnikiem!

Język ten Polski, tylu bólów echo!
Tylu walk zacnych, tylu świętych trudów!
Język tak czysty, iż twierdzę z pociechą,
Nie masz sposobu mówienia w nim brudów,
Język we wszystkie tak zasobny tony,
Ostry, gdy zechcesz, gdy zechcesz, pieszczony!

O Chryste! Chryste! Język ten, z ochoty,
Gwoli kapryśnej a chwilowej modzie,
Na jakieś obce zamienić szwargoty;
Miast w własnej sukni w ludów stanąć zgodzie,
Stanąć tam w cudzej, stanąć w pożyczanej,
Dwa razy na trzy, lichy przykrajanej!

Na miłość Boga! Patrzcie! Jam już chłodny!
Chłodnej dyskussji rad utrzymać tory!
Dajcie mi jakiś powód wiarogodny!
Logicznej racji dajcie mi pozory!
Co was przymusza? Słuchajcież perswazji?
Co was przynagła do tej apostazji?

Co jest? Powiedźcie! Co jest w obcej mowie,
Czegoby wasza orzec nie zdołała!
Gdy dźwięk za twardy w którym razi słowie,
Na toż jest praca, by go obciosać,
Język się tworzy, przekształca, a łamie,
I w tem to jego żywotności znamię.

Co jest? Powiedźcie! Co was wabi, nęci,
W tej cudzoziemskiej paplaniny dźwięku?
Jakiejże pytam, prośby, groźby, chęci,
Jakiego trwogi, lub boleści jęku,
Wyrazy Polskie, wzięte jak należy,
Nie wypowiedzą dobitniej a szczerzej!

A więc dla czegoż? Och! Mówcie! Zaklinam!
Bo oto racji szukając daremnie,
Znów się namiętnić, znów fukać zaczynam!
Bo w dni przyszłości spoglądając ciemnię,
Waszem odsdępstwem dzisiaj zgotowaną,
Wybucham klątwą, długo wstrzymywaną!

Nie na was dzieci! Nie wasza w tem wina!
Któż młode drzewko potępić się waży,
Za to, iż nie chcąc, w tę się stronę zgina,
W którą go chyli ręka gospodarzy?
Nie na was dzieci! Nieszczęsne ofiary,
Skrzywionych pojęć, skoszlawionej wiary!

Nie na was dzieci! Och bo hartu wiele,
I własnej woli i samouznania,
Bóg nie każdemu użyczył w podziale!
Rada nie rada, większość z nas się skłania,
Tam, gdzie nam ścieżki wykreśla, za młodu,
Rodzice nasi, przewodnicy rodu!

Na tych ostatnich kędy szukać gromów?
O Bodaj! Bodaj! Pamięć ich zhańbiona,
Z ich się tu siedzib, chat, pałaców, domów,
Z ich się prawnuków wymazała łona!
O! Bodaj! Bodaj! Za grobów sklepieniem,
Nikt ich żałościem nie szukał wspomnieniem!

O! Bodaj! Bodaj! Za życia tu jeszcze,
Ktoś niewdzięczności poił ich goryczą!
Bodaj w dniach klęski, z serca im tę wieszczę,
Swoi, najbliżsi, ci na których liczą;
Twarz odwracając, kryjąc się w oddali,
Zbawczej im dłoni nigdy nie podali!

O! Bodaj! Bodaj! W zbyt słusznym odwecie,
Okropna kara! wina też nie małą!
Bodaj ich własne, ukochane dziecię,
Obcym rodzicom, miłość swą oddało!
Im zaś na w trumnie podścielisko twarde,
Śmiech li szydrczy rzuciło, a wzgardę!

Bodaj! O Bodaj! J nie złość tu żadna,
Nie żadna wściekłość dyktuje mi słowa;
Oprócz boleści, sądźcie czy zasadna,
I oprócz żalu nic serce nie chowa.
Miękkiej natury już nie przeinaczę!
Chciałbym kląć jeszcze. Niepodobna. Płaczę!

Płyńcie łzy moje! Płyńcie gorzkie, krwawe!
Obyście tamtych obmyć mogły grzechy!
Obym wyplakał zbłąkanych poprawę,
A nad radośne przniosę was śmiechy!
Płyńcie nad temi, co się przeniewierzą!
Po twarzy starca, płyńcie nad młodzieżą!

I jeśli klątwy, ktorem tutaj głosił,
Niesłusznym były wybrykiem boleści;
Jeślim bez racji gromów Bożych prosił,
Na tych co własnej zaparli się cześci;
A to! Słysz Panie! Skiń dłonią wszechwładną!
Niech wszystkie! Zaraz! Na mą głowę spadną!

Łatwo odgadnąć stan mojego ducha,
Od nieszczęsnego na tej rzece promu,
Na resztę drogi nic mnie nie rozrucha,
Zgryziony, zbity, nie życzę nikomu;
Zaledwim dotarł do,.... na co nazwiska?
Do następnego na noc legowiska.

I tam, prędziutko dostawszy z tłumoku
Kochanowskiego (towarzysz bez ceny)
Choć lzy mi ciągle kręciły się w oku,
W cudowne jego wczytałem się « Treny »
Balsamem pieśni, Polskiej, ukochanej,
Zbolełej duszy zablizniając rany.

Tak się w nią wpiłem, takem w niej zaginął,
Taki haust miru polknąłem w niej hojny,
Ze nie wiem istnie jak mi wieczór minął,
Jak noc nadeszła i z nią sen spokojny;
Spłoszone smutków pierszchnęły krogulce,
Zasnąłem cicho, marząc o Urszulce.





ROZDZIAŁ

« Panie! Dzień jasny! Panie! Wstawać pora! »
Budzi mię Maciek (niezwykłe zdarzenie)
A ja spać jeszcze! Bo gdy dusza chora,
To snu się czepia. We śnie zapomnienie.
Lecz trudna rada! Choć nie zbyt ochoczy,
Droga nie żarty! Otworzyłem oczy.

Na dworze słota. Jak raz mi na rękę!
Posępna świata dogadza mi mina!
Natura rzekłbyś, za miłość w podziękę,
Wtórzy smutnemu humorowi syna.
Znowu egoizm? O serce człowiecze,
Od tego wroga, nie łatwo uciecze!

Wstaję więc, wstaję. Zwiększa się pluskota
Dach karczmy skrzypi pod naciskiem burzy,
Psa byś nie wygnał, w czas taki, za wrota,
Nie sposób myśleć o dalszej podróży
Musimy czekać radzi czy nieradzi,
Może pod wieczór niebo się wygładzi.

Co robić w karczmie, zanim czas się przetrze?
Ot piwa sobie nagrzeję wkufelku,
I przy kominie, ochłodło powietrze,
Kurząc fajeczkę siądę na zydelku;
Z dymem tytoniu, błękitnąwą zgrają,
Weselsze myśli może nadbują.

Lubię ja patrzeć na ogień w kominie,
Bez ekonomji suto nałożony,
Z jakim się w Polskiej spotyka krainie
Jakiego obce nie widziały strony,
Gdzie, przy węgielku, co ledwic że tleje,
Lub też przy gazie, Francuzik się grzeje.

Lubię ja patrzeć jak płomień zażarty,
Jaskrawym drzewka obwija językiem ;
Gaśnie na pozór, to znowu, uparty,
Pożerczą czynność głuchym wieści sykiem ;
Póty się ślizga, póty wije dołem,
Aż się stos polan rozsypie popiołem.

Poeta jakiś, mógłby, bez wątpienia,
Porównań tutaj, sute uszczknąć żniwo ;
Filozoficzne robiąc spostrzeżenia,
Mógłby wymównie, malowniczo, żywo,
O żądz występnych gawędzić iskierce,
Co nam podobnież w popiół zmienia serce

Zwykłemu czasem tak śmiertelnikowi,
Na dobry pomysł trafić się wydarzy;
Dalej! Poeci! Rycerze rymowi!
Nie oszczędzajcie piór ni kalamarzy!
Niechaj on plennym służy wam tematem,
Ja, com go znalazł, poprzestaję na tem!

Siedzę więc sobie i myśl puszczam luźno,
Niech o niebieskich zaroi migdałach,
Byleb boleścią nie truła się późną,
Byleb o ziemskich zapomniała kałach.
Leć dumko moja! Wędrówka pokrzepi!
Leć kędy wola! Jm dalej, tem lepiej!

Wróc może nazad? Tam. W młodości stronę!
W stronę wiar krzepkich, w kraj obietnic świętych,
Na pola krasą nadziei barwione!
Na pola złudzeń, lecz złudzeń szlachetnych!
Gdym wąż podkręcał, gdym szabelką dzwonił
Za niebywalem, jak za faktem gonił!

Któżby mógł wątpić? Hej! Tam! Na zachodzie!
Epoka gwałtów ku końcowi zmierza!
Krwi bratobójczej zwolna schną powodzie
Na tron lud wstąpił w postaci żołnierza,
Co nowych pojęć będąc promotorem,
Nowy wiek, nowym miał prowadzić torem.

Któż mógłby wątpić? Na czele legionów,
Z dwudziestu plemion ujarzmionych dzieci,
Żołnierz ten spieszył na zagładę tronów,
Spróchniałych resztek dwudziestu stuleci;
I gdzie krok zrobił, posłannictwem śmiały,
Z drżących rąk króli, berła tam leciały.

Któżby mógł wątpić? Że dla nas z kolei,
Oręż mściciela nie zabłyśnie w górze?
Któż mógłby lubej bronić się nadziei?
Że i my staniem w odrodzonych chórze
My, cośmy wodza mnożyli szeregi,
Od brzegów Tagu, aż po Dniepru brzegi!

Któżby mógł wątpić? W czyjej wyobraźni,
 Mogłoby widmo wyrodzić się krwawe
 Jż syn się woli, z tyranją sprzyjaźni?
 Jż hetman ludów, ludów zdradzi sprawę?
 Jż ten, co światów trzymał w ręku szale,
 Na pychy, w Wiedniu, rozbije się skale?! (m)

Więcem też wierząc rzucił się do dzieła :
 Za Dombrowskiego walecznym przewodem,
 W takt znanej piosnki : « Jeszcze nie zginęła! »
 Więcem też spieszył łączyć się z narodem ;
 Bóg nas z nim, w wspólnej połączył niewoli ;
 Wróć się o dumko ! Wróć się ! Serce boli !

Potem ! Co potem ? Upływały lata
 Minęła młodość, przyszedł wiek dojrzały ;
 Duszy, co skarbem doświadczeń bogata,
 Mrzonki, myślicie, za wygranę dały ?
 Gdzie tam ! Jam Polak ! A Polak, w boleści
 Wieczny kłam znanej daje przypowieści !

Jako ów listek z ojczystego drzewa,
Na pastwę burzy w przestrzenie strącony
Leci bezwładnie, gdzie wiatr nim powiewa;
Tak i me serce w wszystkie świata strony
Górą, to dołem, wśród losów kolei,
Gwoli powiewom bujało nadziei!

Kędym nie szukał zbawców mojej ziemi?
Od kogom dla niej nie czekał pomocy?
Przez lat trzydzieści, oczyma łzawemi,
Pośród zawistej nad Europą nocy,
Na zmiłowanie oczekując Boże,
W lada blask łuny patrzyłem jak w zorzę!

Wiary! Nadzieje! Zawód po zawodzie,
Wszystkie je, wszystkie, powywracał z rzędu,
I przyszły chwile, wybacz mój narodzie!
I przyszły chwile, rozpaczy, obłędu;
Zem wątpić zaczął w prawdę, w słusność, w ciebie,
Zem wierzyć przestał w sprawiedliwość, w Niebie!

I byłem, byłem, jak wściekły, pijany,
Usta szyderczym wykrzywiłem śmiechem,
Domostwa mego obrzydziłem ściany.
W obce gdzieś kraje dążyłem z pospiechem.
O z czasów onych klątw i zlorzeczenia
Umykaj dumko! Pjekące wspomnienia!

Potem! O potem! W skołatanej duszy,
Bóg znowu wiary rozniecił pochodnię,
Oto pojąłem : że wieki katuszy,
Przecierpianemi mogą być bezpłodnie ;
Bo do zmartwychwstań nie wyrabia prawa,
Ni ból, ni troska, a tylko poprawa!

Oto pojąłem z głębokiem wzruszeniem :
Że te, na wsparcie, czyjeś tam, rachuby,
Sprawiedliwości były li kuszeniem.
Zaginać musi, co warto zaguby!
Choćby świat cały szedł nam w pomoc tłumnie,
Trupa nie wskrzesi, gdy ten prochem w trumnie!

Oto pojąłem : że gdy w własnem łonie,
Nie odszukamy do życia zasobu,
A to żadnego zbawiciela dłonie,
Gwałcąc naturę nie dźwigną nas z grobu.
I po co? Pytam? Byśmy, zmartwychwstali,
Tejże chorobie znów się złamać dali?!

Z niej się nam leczyć, z niej wyzwalać skoro,
I to nie siłą gwałtowną oręza,
Bo ta, przykładów dać możemy sporo,
Bardzo nietrwale, na krótko zwycięża ;
Lecz siłą pracy, możną siłą ducha,
Której Bóg płuży, której piekło słucha.

I to pojąwszy, wziąłem się do trudu,
Do użyźniania ojczystej mej roli,
Do wyształcania młodszych braci, ludu ;
W wąziutkich szrankach cichej, sielskiej, doli,
Ile sił starczy, tyle plonów w darze,
Na narodowe przynosząc ołtarze.

Tutaj o dumko! Zabujaj z lubością;
Nim fale losów znów cię nie odwiną,
Ten peryod życia, promienny miłością,
Niech ci tymczasem posłuży gościną;
Ten peryod życia, przepelny spokoju,
Niech cię, tymczasem, przytuli, po znoju!

Młodość ma zeszła na marnych walk polu,
Los mi południe na czyściec przerobił,
Za dużo serca, za bezmiary bólu,
Bóg jesień życia szczęściem przyozdobił.
Szczęściem co z pracy rodzi się jedynie,
Co z wykonania obowiązków płynie!

Byłem szczęśliwym! Kiedy me stodoły,
Co roku większym pyszniły się zbiorem;
Kiedy professor wiejskiej mojej szkoły,
Miesięczny raport zdając mi, wieczorem,
« Codziennie » mówił « więcej miewam gości »
Och! to płakałem! Płakałem z radości!

Kiedym, choć z rzadka, przypadkiem, czasami,
Do mych sąsiadów trafił przekonania,
Kiedym im dowiódł, że bójką a łzami,
Nie wywołamy maiki zmartwychwstania;
Ze trzeba gwałtem, nim ustaną nogi,
Do tychże celów innej użyć drogi.

I kiedym widział, że z pomocą Bożą,
Powiat mój pięknym odznacza się ladem,
Ze mniej zeń grosza panowie wywożą
Ze, szkoły, szkółki sypią się w nim gradem;
A to, żem pjerwszy ku tej popchnął zmianie,
Rosło mi serce, jak na drożdżach, Panie!

Juściż bym skłamał, gdybym twierdził śmiało,
Ze do tak słodkiej jak widzicie czary,
Nic, nigdy, w niczem, jadu nie nieszalo;
Były dnie gorzkie! Nie wszystkie zamiary
Szły jak po maśle, sporo z nich, niestety!
Spelzło bez skutku, niedobiegłszy mety.

Lecz któżby na to skarżył się zbytecznie?
Tryumf bez walki mniejby chował wdzięku,
Kto w Panu ufność położy bezpiecznie,
Ten klęski znosi bez żalów, bez jęku;
Tego chwilowe nie zmogą mitręgi,
W Panu mu tarcza, w Panu puklerz tęgi.

Gorzej o gorzej, gdy jak wczoraj oto,
Duszy w poczciwych zadrzemanej złudach,
Traf realizmu pokazuje błoto,
O realizmu traf wspomina brudach;
Gdy w jednej chwili oczom się odsłania,
Słabość sił naszych i trudność zadania!

Kiedy się widzi, że idea święta,
Której nasz żywot z prawa się należy,
Tysięcznych przeszkód dźwiga jeszcze pęta;
Kiedy się widzi własnych jej żołnierzy,
Własnych jej dzieci, jak za wrogów wodzą,
Drogi zbawienia macierzy swej grodzą!

Wtedy, o wtedy, na chwilę, na mgnienie,
Narzędzie pracy dłoń ciska zmęczona,
Piersią boleśne miota zniechęcenie.
Pytanie : « Wartoż ? » błąka się wśród łona ;
I cudów hartu potrzeba czasami,
By « Nie » szepnąwszy, nie odejść ze łzami !

Gdyby nie wiara w zacność tego dzieła,
Gdyby nie ufność w miłosierdzie Boże,
Znowu by dusza w zwątpieniu zabrnęła,
Znów by na dawne zabiegła bezdroże ;
O i tym razem, śmierć na starca kiwa,
Zabójczą pono byłab recydywa !

Lecz wiara broni, za tej twierdzy wałem,
Niech ziarnko siejby drzewem się rozrasta,
Przesądzać nie chcę ! Tyle lat czekałem,
Pełniąc com winien, czekać będę ! Basta !
Krzywa dziś ścieżka jutro się wyprości,
Tryumf mej sprawy zabłyśnie w przyszłości !

W przyszłości! Jutro! Dziwnie w uściech dziada
Brzmiały te dla młodych, tak urocze słowa;
Kto wie, pod liściem, co z jesienią spada,
Mogła jego może się już schowa;
A on zuchwale, niepoprawni starzy!
O jutrze myśli, o przyszłości gwarzy!

Śmierć! Tak! Śmierć! Prędko! Cóż z tego? Cóż z tego?
Śmierć mnie nie straszy! Śmierć zmoże li ciało!
Duch nie umiera! W ręku Przedwiecznego,
On szatę tylko przyodziewa białą,
I płaszczyk wraca. Tak być musi! Wierzę!
Po nad krainą, którą kochał szczerze.

Więc i ja wrócę! Nad Polską zawisnę!
Nad zjazdem, sejmem, nad ludu wiecami,
Postać gołąbka przyjąwszy, zabłysnę!
Nad senatorów siwemi głowami,
Dopóty krążyć nie przestanę zgoła,
Aż myślą Bożą zapłodnię ich czoła!

O już też sobkiem nie jestem na tyle!
Drzewko onegdaj, szczepiąc w mym ogrodzie,
Anim się pytał, kto na mej mogile,
Zerwie zeń owoc ku swojej wygodzie?
Szczepiłem myśląc: byleby bujało,
To amatorów znajdzie się nie mało!

Bez trwogi dumko! Śmiało w zorzy stronę!
Nie bacz żem stary! Powłoka kłamliwa!
Lica pomięte, włosy spopielone,
To płaszcz zużyty, co młodość przykrywa!
Młodość uczucia! Kiedy przyjdzie chwila,
Bóg z gąsienicy wytworzy motyla.

Przyszłość! Kraina widzeń, prorocstw, czarów!
Państwo fantazji, snów bezbrzeżne pole!
Wśród jej szerokich, zamglonych obszarów,
Buduje zamki, każdy kto ma wolę;
Kiedy więc można, gdy tak łatwo o to,
Czemuż jej sobie nie wymarzyć złotą?

Dla mej ojczyzny nie marzę ja sławy,
Podbojów, zwycięstw, rozszerzania granic ;
Miecz jej w przeszłości i tak nazbyt krwawy,
Ziemi ma dosyć i cudza jej na nic ;
Wianek laurowy, często zaś na czole,
W koronę z cierniów zmienia się i kole !

Dla mej ojczyzny przestając na małym
Wielkich też bogactw nie marzę z ochotą,
Z ciąglej perfekcji szczytnym ideałem,
Głaszcząc nam dumę, rozmija się złoto.
Złoto rozmiękcza, złoto zbytek sładza,
Zbyt zachowawcza w złocie leży władza.

Dla mej ojczyzny jaby z Horacjuszem (*u*)
O cichej, szczęsnej marzył li mierności ;
Według mych życzeń, tylko animuszem,
Tylko rozumnem pojęciem wolności,
Tylko oświatą, niczem więcej zgoła,
Jejby wśród ludów nie połyskać koła.

Dla mej ojczyzny w czułości bezmiarze,
Gdy nic fantazji nie więzi polotów,
O niepodobnem zespoleniu marzę,
Wszystkich cnót razem i wszystkich przymiotów ;
Niebacząc na to, iż te, życia drogą,
Nawzajem siebie obezwładniać mogą!

I tak naprzykład : chrobrego rycerza
I miłośnicę marzę w niej pokoju!
Chcę, niech zapalem serce jej uderza!
Chcę, niech w rozwagi zaczerpuje zdroju!
Skoń jej artyzmu wieńczę aureolą!
Wprostocie ducha zginam ją nad rolę!

Jak owa macierz u dziecka wezglowi,
Myślą w dalekiej bujając przyszłości,
Radaby wszystko dać jedynakowi,
Wszystkich dłań razem tryumfów zazdrości;
Kłócąc się z prawdą, w obłędzie swym tkliwym,
Pragnie go widzieć wielkim i szczęśliwym!

Tak ja, podobnież, nad grobem krainy,
Co w marach moich wskrzesnąć ma za chwilę,
Na jej tu nowe z światem ślubowiny,
W wyborze życzeń błąkam się i myślę;
W nazbyt namiętnej, synowskiej mej pieczy,
Skrajnych, przeciwnych, żądając dlań rzeczy!

Staremu bajdzie, wybaczcie słuchacze!
Te z chłodnym sensem dum jego zatargi,
Gdy głowa szumi, serce w piersi skacze,
Hamulca wówczas nie wkładać na wargi;
Niech bredzą zdrowe! Byleb, ręczyć można,
Myśl z nich nie biegła podła a bezbożna!

Bredźmy więc dalej! Daremnie, już basta!
Poranek szybko zbiegł nad spodziewanie,
Patrzę na zegar, wybiła dwunasta,
Macieck na tacy przynosi śniadanie;
Całą mą dwornię zuch ten wyobraża,
Kamerdynera, woźnicę, kucharza,

Z trzech onych funkcji, z dwóch ostatnich zwłaszcza,
Z wielką się istnie wywiązuje chwałą,
Konie wzorowie obrokiem ugaszcza,
Mnie daje zrazy, jakich w świecie mało;
Nelsonskie zrazy! Do nich kaszy rynkę (o)
Żywiej! Hej! Maćku! Już polykam ślinkę.

Nakryty stolik. Więc zatem z puzderka,
Podróżną starki dobywajmy flaszę,
Widząc, że Maciek łakomie nań zerka,
Nie wstydz się! Mówię. Pij za zdrowie nasze!
Maciek odkrząknął, łyknąwszy do syta,
Młasnął ustami. Znak, że wyśmienita.

Chociażbym niechciał w czytelników kole,
Na reputacją zarobić żarłoka,
Przyznam się jednak, iż na tym padole,
Nie dużo rzeczy miłszych jest dla oka,
Gdy zdrowie zwłaszcza nie wzbudza obawy,
Jak widok smacznie dymiącej się strawy.

Nle ma też złego, ni grzechu, Broń Boże!
W umiarkowanym z Bachusem stosunku;
Gdy się podjadło we właściwej porze,
Kieliszek wina lub innego trunku,
Rzecz to uczciwa, zachęcam was do niej,
Bóg nie użycia, Bóg zbytków li broni.

Popatrzcie na tych, którzy według miary,
Obcy excessom, nie szczędząc też zgoła,
Boże jak trzeba spożywają dary;
Twarz ich rumiana, czerstwa i wesola
Zaświadczy lepiej, niżli słów powodzie,
O zdrowiu ciała, o ducha pogodzie,

Patrzcie zaś na tych, co się głodem morzą,
Ciągłej prywacji, postu zwolenników;
Nim słowo rzekną, nim usta otworzą,
Już w nich po wierzchu poznać śledzienników;
Bładzi, wychudli, sądzić się pokuszę
Chory żołądek, chorą mają duszę,

Paradoks zda się? Szczera prawda w gruncie,
Ducha w nas z ciałem skuło przyrodzenie;
Ani nam myśleć o szalonym buncie,
Ani się kusić o ich rozłączenie;
Wierne małżeństwo, wspólnie wszystkie rany,
Wspólnie odczuwa każdy cios zadany.

Ciała nie zgnębisz, nie ciemiężąc duszy
Duszy nie zranisz nie ubodłszy ciała,
W lada cię boju twój przeciwnik skruszy,
Byleb twa ręka zmęczeniem zadrżała,
W lada cię boju przeciwnik pokona,
Byleb duch trwogą zadrżał ci wśród łona.

Między istnienia połówkami temi,
Ciągłej, statecznej, równowagi trzeba,
Ni zbytkiem ciała ciężyć nam ku ziemi,
Ni zbytkiem ducha ulatać do nieba;
Kto kosztem jednej, drugą wciąż rozwija,
Ten się, zaprawdę, z celem bytu mija.

Bóg nas nie darmo z zwykłej lepił gliny,
Bóg w nas nie darmo nie stworzył aniołów,
Zanim do lepszej nie wzlęcim krainy,
Na ziemi, wprzód, wśród niskich padołów,
Ród ludzki swoje spełnia przeznaczenie,
Duchów z ciałami święcąc zespolenie.

Kto więc dla ducha krzywdzi w sobie ciało,
Ten sądom Bożym stawi się opornie,
Temu skok wielki zrobić się zachciało,
I na anioła wyrość cudotwornie ;
A jak to prawo fizyczne wręcz głosi.
Matka natura tych skoków nie znosi (p).

Więc karcąc słusznie zuchwałę zachcianki,
Ona mord ciała, na duchu wnet karze ;
Zamiast porzucić wążkie ziemi szranki,
Miast z aniołami w dumnej chodzić parze,
On spada na dół, dziecinieje, we śnie,
Alias w głupocie, kończy byt przedwcześnie.

Zdała odemnie zapasy z naturą!
Sam! Tutaj! Maćku! Zabieraj ze stołu!
Łepskość się spisał! Dobry barszcz był z rurą,
I jeszcze lepsza sztuka-mięsa z wołu.
Choćbym był panem, krocie miał tysięcy,
Broń Boże zbytków! Nie trzeba mi więcej.

A teraz z fajką gdy deszcz w szyby dzwoni,
Ot tam, na ławie, położę się nieco (r);
Maćku! Hej Maćku! Podściel derhę z koni!
Może zadrzemnę. Chwile prędszej zlecą.
Bóg dobry zechce i na przebudzenie,
Pogodne słońca będę miał promienie.

/

I wy słuchacze, za dobrym przykładem,
Jeśli wam wasze pozwolą zajęcia,
Gdyście z pożywnym skończyli objadem,
Morfeuszowi rzućcie się w objęcia;
A za godzinę, znów was, plemię młode,
Na pole gawęd gdy chcecie powiodę.





ROZDZIAŁ VI.

Zawziął się deszczyk, jak leje, tak leje,
O słońcu zgoła, ni wieści, ni słychu,
Pełzną ostatnie na wyjazd nadzieje,
Zostać tu musisz na pokucie, mnichu!
Gdy nudy straszą, markotno samemu,
Odmów rożaniec i marz gdyś po temu.





ROZDZIAŁ VI.

Zawziął się deszczyk, jak leje, tak leje,
O słońcu zgoła, ni wieści, ni slychu,
Pełzną ostatnie na wyjazd nadzieje,
Zostać tu musisz na pokucie, mnichu!
Gdy nudy straszą, markotno samemu,
Odmów rożaniec i marz gdyś po temu.

O czym tu marzyć? Tak, na obstalunek,
Wesołych myśli nie znaleźć pod bokiem,
A już mi ciągly dokuczył frasunek,
Radbym weselszem na świat spojrzeć okiem;
Chciałbym serdecznie, lada zręczność, byle
Pokrotochwilić i pośmiać się chwilę.

Brawo! Okazję los opatrzny zdarza,
Pociesz się serce gawędki spragnione
Widzę zdaleka karczmy gospodarza.
Jak kornie zgięty, w moją zmierza stronę;
Trzeba go zręcznie. Jak? Radźcie dewotki i
Na okoliczne wyprowadzić plotki (s).

Żyd już nie młody, sprytnej trza pułapki,
Zamożny, groszem przepełniona kassa,
Zdradza się futrem bobrowem u czapki,
I jedwabiami, w koło bioder, pasa;
Ukłon za ukłon, oddając mu nisko,
Czekam z uśmiechem, aż podejdzie blisko.

« Kłaniamy Panu! » Witam arendarza!
Brzydka pogoda! « Co brzydka, to brzydka!
Ja z niej i owszem, bo ona przysparza,
Wiele honoru dla biednego żydka.
Jasny Pan u mnie! » Grzecznyś Panie Rabi!
O chytra sztuka! Nie łatwo się zwabi!

A co tam słychać? Jak idzie handelek?
Urodzaj piękny? Wódeczka staniała?
« Zachciał Pan Jasny! Dla hetek pętelek,
Jak ja, jak moi, korzyść z tego mała,
Choć zboża hukiem, choć wódka nie w cenie,
Drożyzna zawsze, gdy puste kieszenie! »

Oho! ho! Puste! U kogo! U kogo?
A nie u kupca! Gardło na to stawię!
« Wielmożni państwo żartować z nas mogą,
Myśmy stworzeni ku Jasnych zabawie.
Puste! Ej! Puste! Wstając równo z słońcem,
Zaledwie koniec związujemy z końcem! »

Zkądże ta bieda? « Ot zarobek kapie,
Panowie ciągle podnoszą arendy,
Akcyza trzyma w żelaznej swej łapie,
Płacić przymusza tędy i tamtędy;
Gdzie tu grosz schwycić? Człowiek w palce chucha,
Byleb dał Pan Bóg starczyło dla brzucha! »

« Dziedziczka nasza z Wielkiego Pawłowska,
Dwór jej w dolinie błyszczą za drzewami,
Jasna Hrabina Pani Maślankowska,
Nie ma litości nad arendarzami,
Na święty Jana, co był przed miesiącem (s)
Zwiększyła ratę złotych tysiącem. »

Nicby to jeszcze. A dziedzic Olszyński,
Co to u niego trzymałem gorzelnię,
Jaśnie Wielmożny Baron Nahajczyński,
Tysiąca rubli zyskanych rzetelnie,
Oddać mi nie chce! Zbieraj że pomału!
Ni z nich procentu, ni z nich kapitału! »

« I tu nie koniec! A Pan na Dymnowie,
Hrabia Kredkiewicz, co wyrabia z nami?
Zamiast dotrzymać co stało w umowie,
Kiedym handlować zaczął z nim wołami;
Za jakieś szkody, niby tam, na paszy,
Wołów nie daje i procesem straszy! »

« Co człek zarobił w pocie swego czoła
Grosz tam, grosz ówdzie, tak się roztraciło;
Żydzi szachraje! Pierwszy lepszy woła,
Jakby szachrajów Chrześcijan nie było?!
Choć żyd, jednakże, mówiąc z przeproszeniem,
Nie chciałbym z niemi handlować sumieniem! »

Skarg tych słuchając, siedziałem jak wryty,
Więcej niż żydka długą jeremjadą,
Tytułowemi zdumiony zaszczyty,
Hrabiów, baronów, przejasną gromadą,
Aż oczy bołą, tak w nie z każdej strony,
Z dziewięciu pereł łyskają korony!

Zydowskie żale znane mi z praktyki,
Z rzadkim wyjątkiem i z małą odmianą,
Zyd obdzierając « gwałtu ! » szerzy krzyki,
Jakby to jego z skóry obdzierano ;
W słuszną narzekanią zatem Izraela,
Myśl ma do czasu wątpić się ośmiela.

Lecz te tytuły ? O daj że go katu !
Jaki to szereg antenatów długi,
Bohaterskimi cięciami bułatu,
Czynami wielkiej a szczytnej zasługi
Pracować musiał w przeciągu stuleci,
By tyłą blasków spłynąć aż na dzieci !

Patrzę w historję : pierwszy Nahajczyński,
Musiał hetmanić, kędyś pod Cecorą,
Kredkiewiczowie, to ród jest Rusiński,
Pod Obertynem musiał krwi dać sporo ,
A Maślankowskich praszczur pewno słyńie,
Usilną pracą dla Unji w Lublinie ?

Patrzę w historję : ni wieści, ni słychu !
Milczą kroniki, herbarz nic nie gada !
Więc skądże tyle kradzionego szychu ?
Więc skądże taka tytułów parada ?
Chyba, że lekcje braliście pretensji,
Na folwarczku, od matczynych gęsi ? !

Śmieszne ! Och śmieszne ! Kogoż to oszuka ?
Kogo przekonać, otumanić, zdoła ?
Kędyś tam, chyba, jakiegoś nieuka.
Co nigdy dziejów nie czytywał zgoła,
Gdy dość wam na tem, gdy nie trzeba więcej,
To biorąc tytuł, bierzcie już książęcy !

Gdybyż li śmieszne, lecz podłe to w summie,
Ojców cichego wypierać się wczoraj,
Gwoli dziecinnej, gwoli głupiej dumie,
Pożyczać kędyś, dziadka senatora,
Kiedy ten dziadek, moc przykładów wskażem,
Bardzo był zacnym, lecz tylko włodarzem !

Skromny ja szlachcic, nie mam w przodków liku,
Ani kanclerzy, ani też hetmanów!
Dziadowie moi siedzieli w kąciku,
W bojaźni Bożej pilnowali łańców,
Za szczyt ambicji, w ciągu życia swego,
Urząd Cześnika mając, lub Wojskiego.

Skromny ja szlachcic! Herb mam starodawny!
W szyszaku, w hełmie, bez żadnej korony!
Ze się nie splamił, tem li tylko sławny!
Ze się nie sprzedał, tem tylko uczczony!
Mało kto o nim słyszał co w istocie,
Nie lśnił u tronu, nie lśnił także w błocie!

A jednak. Wierzcie! Słowo na to daję,
Iż takiej sławy do zbytku mi starczy;
Ze na przeżadną zdobną w gronostaje,
Mej ubożuchnej nie wymieniam tarczy,
Tytuł szlachcica, co go wieki kuły,
Nad wszelkie inne przenosząc tytuły!

Tytuł szlachcica w naszej Polsce zwłaszcza,
Nie byłże bowiem godności zenitem?
Dziś gdy zamorski zwyczaj się rozgaszczą,
Gdy stara przeszłość sennym mgli się mytem:
Co znaczył szlachcic, mieć pojęcie o tem,
Z olbrzymim wnukom przychodzi kłopotem!

Elukubracje niektórych pismaków (*t*),
Wcale historii nie grzeszących wiedzą,
Szlachtę, jak hordę magnackich żołdaków,
Przed potomnością malować się biedzą
Dla kilku winnych, kilku wrzodów, śmiało,
Całe bezwzględnie potępiając ciało.

Że były grzechy, przeczyć temu trudno,
Pewna część szlachty, w zbytkach tracąc głowę
Żądzą zarobku obłąkana brzydą,
Sprzedała możnym praw swoich połowę;
Ale z nadużyć, co się plenią wszędzie
O instytucji, któż przesądzać będzie.

Zasada wszystkim. Jej zgłębiajmy dzieje,
Zmrużywszy oczy na wyjątków kały,
Patrzmy na ogół, patrzmy na ideje,
Co stan rycerski niegdyś fundowały;
Patrzmy nareszcie, przykłady coś znaczą,
Nie na dworaków, na szlachtę wieśniaczą!

Szlachcic był w Polsce, treść przedmiotu bierzem,
Ni czas, ni miejsce, więcej nie pozwolą;
Jedynym sędzią, jedynym żołnierzem,
Wyborcą króli i króli kontrolą;
Czyli rzecz innym wyrażając torem
Stwórcą praw, stróżem i egzekutorem.

Szlachcic był w Polsce myślą i czynnikiem,
Głową, ramieniem i mieczem i togą;
Jedynym z góry na dół przewodnikiem,
Jedyną tylko z dołu w górę drogą;
Szlachcic był w Polsce, Polski tej pojęciem
Jeśli nie królem a to krwi książęciem!

Obok tych wielkich, szczytnych przywilei,
Postawcie prawa niemieckich grafików,
Których, gdy zechce, tysiąc jutro skleci,
Wola cesarska z tysiąca kuchcików:
I których tysiąc, chodzi to po świecie,
Kaprys cesarski, jutro w niwecz zmiecie!

Raczie zrozumieć lichotę facjendy!
Jako ów znany z przypowieści stryjek,
Zasłynąć szumnie moglibyście wszędy,
Żeście siekierkę oddali za kijek;
Żeście rzucili pełne wspomnień miano,
A wzięli nazwę pustą a kłamaną!

Żeście szlachcice za praojców czyny,
Za krew ich laną u ojczyzny granic
Za niemniej świetne pokoju wawrzyny,
Stali się teraz, grafami, ot za nic!
Za kilka groszy rzuconych Niemcowi (u)
Co dyplom pisząc « kpy » po cichu powie!

Śmiech i złość razem! Pod niebios sklepieniem,
Nie masz drugiego jako nasz narodu,
Żywot swój zrobić obcych wciąż małpieniem,
Tyle li troski, tyle mieć zachodu,
Ile ich trzeba, by się zamaskować
By z siebie gwałtem Niemców sfabrykować

Niemieckie stroje, niemieckie zwyczaje,
Niemiecka mowa, niemieckie tytuły,
Polska li ziemia, co kęs chleba daje
I grosz li polski co płynie z szkatuły
Ojczyzna drugie odbywa męczeństwo,
Katem jej wasza podłość, lub błazeństwo!

Że tez bez dąsów dnia spędzić nie mogę!
Czarownik jakiś klątwą na mnie rzucił!
W fatalny moment wybrałem się w drogę!
Żebym był bliżej tobym się powrócił,
Lecz ztąd, daleko. Przytem, to już wety,
Jeszcze dzień jazdy a dotrę do mety!

Deszcz, dzięki Bogu ustawać zaczyna,
Błękitne niebo widać na zachodzie
Choć już spóźniona nie żartem godzina,
Lecz gdyśmy z czubem spoczęli w gospodzie,
Więc choć po nocy ruszymy się dalej,
Pełnia miesiąca wkrótce się zapali!

Żegnaj karczemko! Choć na pożegnanie,
U progów twoich, pijąc strzemiennego,
Na kroplę żółci natrafiłem w dzbanie,
Wapaniałomyślny nie pomnę ci tego;
Jak mnie, przed deszczem, bodajbyś w przyszłości
Chroniła licznych i bogatych gości!

Znowu więc w drogę! Lubownik natury,
W każdej ją zgoła ubóstwiał odmianie,
Czy gdy królewskie z złota i z purpury,
Rano, w południe, przywdziewa ubranie;
Czy gdy wieczorem, jak teraz, przed nami,
Czarny płaszcz nocy nabija gwiazdami.

Noc! Oko błędząc w bezbrzeżnej przestrzeni,
Co krok miljardy napotyka światów;
Myśl, badacz wieczny, na kanwie z promieni
Krocie dziwacznych dzierżga poematów!
Z życia tych istot, wzrok których, w tej chwili,
Z naszym się, może, porozumieć sili.

Kto wie? Być może. Gdzieś tam. Na Wenerze,
Astronom jaki, w teleskop wpatrzony,
Teraz ot właśnie ruchów ziemi strzeże.
Lutnię na wieszczce nastrajając tony,
Poeta który, może, na Saturnie,
O ziemi naszej wyśpiewuje górnie.

Kto wie? Być może. Tkliwa jakaś donna,
Którą na Marsie czy na Merkurjuszu,
Związała miłość szczerą a dozgonną,
Z jakimś młodzieńcem pełnym animuszu,
Gdy jego nie ma, łzami rosząc lice,
Ziemię za westchnieć bierze powiernicę.

Kto wie? Być może. Na przypuszczeń błonia,
Figlarną myślą, kiedy się raz wjedzie,
To stepowego łatwiej wstrzymać konia,
Buja i buja, Bywaj zdrów sąsiedzie!
Zwiedzając Marsy, Wenery, Jowisze,
Lepszy od mego Pegaz się zadysze.

Nocy! O nocy! Kochanków godzino!
Po raz to pierwszy musi być, do ciebie,
Siwego starca wykrzykniki płyną!
Starość nie lubi zasłon twych na niebie
Starość chce słońca, chce ciepła, nie sztuka!
Ty go jej nie dasz, niech w piecu poszuka!

Staruszków trwożą czarne tve otchłanie,
Tyś dla nich istnym śmierci emblematem,
Starzec spać idąc, nie wie czy już wstanie,
Żegnając słońce, żegna się ze światem,
Łoże spoczynku, pośród twoich cieni,
Nie dla jednego w trumnę się przemieni.

Lecz młodość za to! O ją krew jej grzeje!
Jej nie trza słońca, pieca ni kożucha!
Wiele klątw czułych, w mroku, nim zadnieje,
Ucho twe nocy co wieczór wysłucha?
Och! pomnę jeszcze! Czy widzicie dziada,
Na jakie dziwne konfidencje wpada?!

Sza! Ani słowa! Młodość, to mi ale
Jej nie na myśli mogiły krawędzie,
W przyszłość nieznaną spogląda zuchwale,
Jutro, powiada. Jutro dla nas będzie!
Więc dziś bez żalu rzucajmy, bez szkody!
Młodość to ufność! Kto wątpi, nie młody!

Nie wiem dlaczego? Ale w sercu starem,
Jakieś dziwaczne odczuwam wzruszenie
Ciało ku ziemi nie zwisa ciężarem,
Jaśniej mrok nocny przebija spojrzenie;
Rzekłbyś, ze słotą, ouf! Odetchnąć miło!
Lat ze dwadzieścia z ramion mi ubyło!

Tfu! W głowie dumki roją się zielone!
Czegości pragnę, wzdycham Bóg wie czego!
I mimowolnie popatruję w stronę;
Bies, co Świętego kusił Antoniego,
Nuż w kształcie nimfy przedemną zagości?!
Wara od grzechu! Myślmy o Jejmości!

O! Jejmość! Niegdyś! Nurzam się w wspomnieniu!
Kiedy z pod Lipska powróciłem ranny,
W całutkim kraju, na sto mil w promieniu,
Niebyło gładszej jak Hannusia panny,
Tłum konkurentów i nie lada jaki,
Kasztelan, sąsiad, smałił koperczaki (w)

Szarą polewką Hanuś moja hojnie
Karmiła zuchów wszystkich bez wyjątku;
Aż gdy dopiero, po skończonej wojnie,
I ja, na dziennym stanąłem porządku;
To wtedy dziewczę, raptem dając susa,
Porąbanego wybrało wiarusa!

Para z nas była, jak bodjaka z różą
Ona wiosennym jaśniała rozkwitem,
Ja na tułaczce przecierpiawszy dużo,
Z czołem na dwoje, pod Lipskiem rozbitem,
Jeślim czem świecił, to Marsową miną,
I szpakowatą zlekka już, czupryną!

Lecz Hanuś Polka była to nie lada,
Serce jej sercu wtórzyło ojczyzny,
Kochała we mnie, sama to powiada,
Te za kraj własny poniesione blizny;
Kochała we mnie Polskich legji szczątki,
Zacnego wczoraj, zacnych wiar, pamiątki!

I dotrzymała złożonej przysięgi,
I była, była, życia mego pychą,
Kawałek czasu już przeleciał tęgi,
Latek trzydzieści, jak dzień zbiegło, cicho,
Ni jedną burzy nie zmaconych chwilką;
I mnie się zdaje, że to wczoraj tylko!

Wszystkim wam dzieci, takiej życzę żony!
A między nami, nie wstydy wyznanie,
Byłem dość często, zły, cierpki, skwaszony,
Kiedy ból w starej odzywał się ranie;
Anielskiej duszy, wszystko zmogła siła!
Zapłać Jej Boże! O! Bo zasłużyła!

Pomnę! Przed ślubem! Et! Śmieście się zdrowi!
Jakem to mówił, Bóg wie zkąd i czego,
Na czułe dumki wzięto się starcowi?
Jakbym wspomnienia nie karciał błędnego,
Ciągłe w Cytery nazad skręca progi
Puśćmy mu cugle! Słuchajcie bez trwogi.

Rok się jak dzisiaj schylał ku jesieni,
Znikły już skwary, chłód jeszcze nie witał,
Zniwami pachło w zamglonej przestrzeni,
Wyraz dostatku na wszystkim się czytał;
Po długich klęskach, po niszczącej wojnie,
Kraj po raz pierwszy oddychał spokojnie,

Myśmy z pobożnej wracali wycieczki
Tam, na Polesiu, u brzegów Horynia,
Pośród niewielkiej z kilku chat wiosieczki
Słynna cudami wznosi się świątynia
Odpust jesienną zwykły przypadać porą,
I wiernych zawsze zbiega się nań sporo.

Jam ślub uczynił, iż kiedy się oto,
Z ran moich ciężkich jak trzeba wyliżę,
To na ten odpust podążę piechotą
Kazimirzeckie błogosławić krzyże (x)
Poszedłem zatem. Bóg poszczęścił drodze,
Wróciłem w Handzi zakochany srodze.

Rodziców panny znałem już po trosze
Dawna ich przyjaźń łączyła z mojemi,
Poznawszy lepiej, śmiało prośbę wnoszę,
Bym podróż nazad mógł odbywać z niemi ;
Przyjęto. Wiwat! Natychmiast, jak z procy,
Wysiadam z bryczki, siadam do karocy.

Wracamy zatem. Noc to była cicha.
Jak dzisiaj, właśnie. Rodzice już starzy,
Łatwo ich do snu powóz ukołycha;
A żołnierz z panną jak gwarzy tak gwarzy
Gdybym się nie bał słuchaczy mych znużyć,
Mógłbym dosłownie rozmowę powtórzyć.

Ja, zgadnąć łatwo, lękliwy i drzący,
Przed jasnych ślepiąt straszliwą baterją,
Tłumiłem w sobie potok uczuć wrzący,
I marzyć nawet nie śmiałem na serjo;
Choć sto okazji stręczyła rozmowa,
Wyznań w pół drogi polykałem słowa.

Ona z uśmiechem, kobieca odwaga!
Skubiąc w paluszkach rąbek wstążki zmięty,
Z toni oświadczyn wybrnąć mi pomaga,
Ładne półsłówka szepleniąc zachęty;
Jak mi się potem przyznała rumiana:
« Za nie decyzję zła byłam na Pana! »

Aż gdy nakoniec w lubym jej uśmiechu
Na wyraz kocham zaczerpnąwszy męztwa,
Jak zbrodzień jaki blady, bez oddechu,
Na wyrok z góry czekałem męczeństwa;
Ona, figlarnie strzelając oczkami,
« Mów Pan » odrzekła « Mów Pan z rodzicami »

Pijany szczęściem, nie wiedząc co robię,
W pół giętką kibić schwyłem dziewczęcia,
I tak ją silnie tuliłem ku sobie;
Panna się z mego wyrwała objęcia,
W głębiach pojazdu pons chowając skroni,
Dłoń tylko w mojej zostawiła dłoni.

I noc to była niezwyklej jasności
Cudownych blasków, rajskich aromatów,
Tuląc dłoń Handzi, siedziałem w cichości,
I myśli nasze za krańcami światów,
Srebrnych miesiąca dzierżąc się promieni,
Dalszą rozmowę kończyły w przestrzeni.

Och! Czy noc taka świeci nad Bosforem,
Nad mirtowemi Hellady gajami,
Czy nad Poleskim w pół zamglonym borem,
Wszystko to jedno! Piękno nad pięknami,
Niema ojczyzny, lub też, mieć ją może,
Wszędzie gdzie miłość i gdzie młodość! Boże!

Niechcę przerywać lubych marzeń wątku,
I o czem innem zaczynać biesiady,
A nuż z ciemnego rozmowy zakątku
Upiór niesnasków wysunie się blady,
Lepiej o lepiej, ciągły gniew jest grzechem,
Choć jeden rozdział zakończyć uśmiechem.

Nektar wspomnienia odurzył mię trochę,
Wszystko, co niegdyś w głąb serca zapadło,
Dumki wesołe, rzewne, tkliwe, płocze,
W jedno się mgliste zlewają widziadło,
Kolasa zwolna po piasku się toczy,
Senno mi, senno. Ot zamykam oczy!





ROZDZIAŁ VII

Niedługo spałem, lecz wybornie za to
Żadne mi piersi nie dławily zmory,
Z dawnych pamiątek czeredą pstrokatą,
Zaczęte wczoraj wiodłem rozhowory;
Zapas spokoju czerpnąwszy w nich duży,
Czekam. Goryczą znów się coś przysłuży.

O! Jej nie szukać, odnajdzie cię sama
Jakbyś nie zmykał, dogoni cię snadnie,
A wtedy smutkom i boleściom tama
Bardzo nieprędko i z trudem się kładnie;
Losów nie zmienić i nie przekabacić,
Każdy nam uśmiech setką łez trza płacić!

Dalipan! Słusznie! Gdyby fortun gwiazda,
Zamiast przelotnie, tu ówdzie zabłysnąć,
Czyjegoś stale czepiła się gniazda,
Nad czołem kilku stale chciała zwisnąć,
To ci, wybrani, niech was to nie dziwi,
Zbytecznem szczęściem, bylib nieszczęśliwi!

Ciągle być jasnym, jak ów księżyc w pełni
Nie znać obawy i nie znać wzruszenia,
Wiedzieć zawczasu, iż wszystko się spełni
Co tylko formę przybierze życzenia,
A stąd niczego nie żądać z zapalem
Wszystko mieć faktem, a nic ideałem.

Nie znać jak pachnie listeczek wawrzynu,
Na mglistych polach rwany niepewności,
Do żadnej pracy, do żadnego czynu,
Żadnej, rzecz prosta, nie wiązać wartości,
We wszystkim zgoła, co z rąk nam wypłynie
Dzieło fortuny widzieć li jedynie.

Takiego szczęścia, któż pożądać może?
Taką wygraną któż się zadowolni?
Nie! mądrze wszystko urządźcieś Boże!
Raju bez czyścica my pojąć nie zdolni!
Wieczna pogoda zbyt prędko nas znudzi!
Gromów i burzy potrzeba dla ludzi!

A przytem, wierzcie, ta wiosna bez końca,
Ciągły ten ranek bez pomroków zdala,
Niegaszonemi promieniami słońca,
Serca szczęśliwych na kamień przepala;
Jdźcie zapewniać mieszkańców Sahary,
Iż ktoś tam marznie, odmówią wam wiary!

Szczere współczucie, litość nieklamana,
Łatwiej wśród biednych gnieźdzą się te cnoty,
Nie pukaj do drzwi wyłącanych pana,
Zebraku, śmiało w progi spiesz hołoty;
Tam cię pewniejsze miłosierdzie czeka,
Tam nie pół-boga spotkasz, a człowieka.

Tam spotkasz ludzi, którzy życia drogą,
Jak ty cierpieli, jak ty cierpią jeszcze,
Którzy twą boleść łacniej pojąć mogą,
Takiejże samej odczuwając kleszcze;
Którzy swą kopię w twej widząc osobie,
Dając ci litość, oddadzą ją sobie.

Trudno się bronić! Myśmy egoiści!
Wciąż według własnych, drugich mierzym łkania,
Rzadko kto, rzadko, na tej ziemi ziści
Szczytny ideał samozapoznania;
Rzadko kto, rzadko, w sądach cudzej doli,
Z pod « Ja » potężnych wpływów się wyzwoli.

Bogacz dość chłodno współczuje biednemu,
Tancerz kalece, adwokat niemowie,
Ten, co się najadł i napił, głodnemu,
Ten co spał w łóżku, temu co spał w rowie;
Tak i na odwrót łezkę nam wyciska,
Tylko nieszczęście odczute i zblizka.

Trzeba więc zatem by pani fortuna
Wszystkie z kolei nawiedzała progi
Trzeba więc zatem, żeby klęski luna,
Wszędzie blask mogła rozszerzyć złowrogi:
Z tego przed dolą równouprawnienia,
Braterstwo ludzi tutaj się rozplenia!

Ja z mego działu wziętem już po trosze,
Tego i tego, szczęścia i boleści
Wiem jak smakują niektóre rozkosze,
Ile też gorzkich serce czasem mieści;
Czekam mej reszty na praojców grzędzie,
Wola w tem Boża, co ma być, niech będzie!

Czas nie próżnuje! Słońce już wysoko
Ale niestety w gęstej z chmur opony,
Albo mię myli gospodarskie oko,
Albo dzień znowu deszczem się zakończy.
Lecz mniejsza o to! Wezmę się usilnie
I przed ulewą stanę jeszcze w Wilnie!

Ongi. Pamiętam, Właśnie w porę żniwa (y),
Do murów tego poczciwego grodu
Z wszystkich stron Polski młodzież urodziwa
Po światło nauk biegła bez zawodu;
Do różnych w życiu sposobić się celów
Słuchać Sniadeckich, Franków, Lelewelów!

Od klęsk przedśmiertnych, od czasu rozbiorów
Jedne to bodaj ulgi było mgnienie;
Dosyć wolności pomimo pozorów,
Ni to swoboda, ni to ujarzmienie.
Spokój, dostatek i pajęczne tkanki,
Pomyślniejszego jutra obiecanki.

I razem wtedy istnym Bożym cudem
Pozagrobową zmarłej matki siłą
Plejada piewców zabłysła nad ludem ;
I za Zygmunta piękniejszej nie było,
W młodym Adamie, pora już też, pora,
Jan z Czarnolesia znalazł sukcesora!

Co z tego dzisiaj? O nie myślcie, proszę,
Że starych dziadów powszechnym zwyczajem
Czas mej młodości pod niebo wynoszę
Czas mej młodości wyobrażam rajem!
Chwilom obecnym z ich ujmując chwały,
Bo mi czuprynę szronem przysypały!

O! nie! nie! wcale! Lecz równajcież sami,
Waszą garść kwiecica z naszych kwiatów wieńcem,
Waszych poetów z naszymi piewcami,
Wasz choćby Kijów z naszym choć Krzemieńcem,
Bez trudu zgadnę, zawczasu i zdala,
Na czyją stronę przeważy się szala.

Wszak nie masz sprzeczki? Świat nas uznał wszystek,
Tęczę stubarwną, złotą błyskawicą,
Z girlandy naszej och niejedem listek,
Z parafialną zasłynął granicą;
Wtedy gdy o was, młodzi wy panowie!
I to nie arcy, słyhać li w Kijowie (z).

Nie wasza wina, a wypadków toku,
Gwałtu oprawców, ciemieżców przemocy,
Nieszczęśliwego trzydziestego roku,
Listopadowej nieszczęśliwej nocy!
Nie wasza wina! Zapewne! zapewne!
Więc też nie kłątwy, skargi ciskam rzewne!

Wyście owocem poronionych czynów,
Plodem nie w porę zaczętego trudu,
Kilku, het marnie, powiędłych wawrzynów,
Garści głupoty i garści też brudu;
Wami Bóg karze tych, co w szalu chwili,
Na płochą kartę los kraju rzucili!

Straszny sąd Pana! On błędy grzesznika,
Póki się szczerą nie zamażą skruchą,
W potomstwie jego gromi i dotyka!
Dmuchasz na ogień i ujść chcesz na sucho?
Darmo braciszku! Pożar się roznieci,
I ty w nim spłoniesz i spłoną twe dzieci!

Odpowiedzialność za występki dziada,
Jak i nadgroda dziadowskiej zacności,
Na wnuków łaską, lub przekleństwem, spada,
Człowiek na ziemi jak wróbel nie gości,
On jest ogniwem wielkiego łańcucha,
Z temi, co przyjdą wiąże go moc ducha!

O gdyby, gdyby, każde pokolenie,
Tę wielką prawdę miało przed oczyma,
Iż nic nie znika tu niespostrzeżenie,
Wszystko ma skutek i wszystko się trzyma;
Iż więc na oślepa, jak się u nas wodzi,
Z przyszłością dzieci igrać się nie godzi!

Możeby, ufam, przed szalonym skokiem,
Ojciec się każdy trwożnie zastanowił,
Badawczem siebie oceniwszy okiem,
Za słabą ręką szabli swej nie łowił ;
Rodzinne czucie możeb w nim działo
Na co miłości ziemi swej, za mało.

Możeby ufam, chcąc dzieciom zostawić,
Szczęście którego rzeka się dla siebie,
Ból ciężki nieraz, milcząc wolał strawić,
Więcej nad siły znieść nawet w potrzebie,
Niż się na śliskie puszczając hazardy,
Siebie nie zbawić i im los dać twardy!

O! Dzieci moje! Byleby wam byle,
Swobodne jutro zapewnić po sobie,
Ilem tu cierpiał dziesięć razy tyle,
Zgodzę się przenieść w niewolniczym grobie!
Pełen radości uciechy a miru,
Przyjmę mój Boże! Choć wieczność Sybiru!

I ecz i wam dzieci, jakkolwiek was o to,
Z trzech czwartych części rozgrzeszyłem winy,
Gdy miast z upadku dźwigać się z ochotą,
Skargę li mięką na jego przyczyny,
W młodzieńczem sercu znajdziecie, a w głowie;
Gorzkiej się prawdy parę słówek powie.

Nie znam potęgi któraby zdołała,
Pod batem nawet złamać we mnie duszy;
Wszak wiedza wiedzą mimo klęsk została,
Wszak prawd nauki żadna moc nie wzruszy,
A więc, a zatem, naprzód w imię Boga!
W wiedzy, w nauce, odkupienia droga!

O i nie mówcie, że to wiedza wstrętna,
Co się wam w obcym przedstawia języku,
Co myśli wroga brudne nosi piętna,
Co obelgami karmi was bez liku!
O i nie mówcie! możność nie pozwala,
« Lepiej nic zgoła, niż coś od Moskala! »

Bo taką pychę nadętą i hardą,
Nie zaradzicie bynajmniej niczemu ;
Bo taką śnieżną godności kokardą,
Wolno się stroić tylko szczęśliwemu.
Bo w naszych uśmiech dumna mowa taka,
Będzie li śmieszłą przechwałką żebraka.

Nie mówię tutaj do niemowląt przecie,
Nie zdolnych dobra odróżnić od złego,
O! Matki Polki! zanim pisklę, dziecię,
Na świat z pod skrzydła wyleci waszego,
Zanim porośnie własnej myśli pierzem,
Wy je wprzód wiary okujcie pancerzem!

Wy mu wprzód usta, wy mu buzię małą,
Tak do Polskiego przyzwyczajcie mleka,
By mu się obce gorzkim wydawało ;
By gdy dojrzeje, z czasem, na człowieka,
Mogło w wspomnieniach domu i ojczyzny,
Znaleść lekarstwo na wszelkie trucizny!

Do niej ja mówię, do niej, do młodzieży,
Co już i własnym uzbrojona sądem,
I zdrowem mlekiem zaprawna macierzy,
Lada się jakim nie zarazi trądem,
Co już jak pszczoła potrafi i snadnie,
Wyssać sok z kwiatu, jad zostawić na dnie.

Do niej te słowa. Niech płochych wykrętów,
I ślamazarnych nie szuka wymówek,
Niech perłę znajdzie wśród brudnych odmętów,
Niech cierpliwości ucząc się od mrówek,
Szpera, choć w śmieciach, pod prochem, pod ziemią,
Pożywne ziarnka zasypane drzemią!

Im cel trudniejszy, im cięższe zadanie,
Tem więcej sławy połyska u mety,
O gdybyś młodość powrócił mi Panie!
Tobym na starców nie czekał podniety;
Sambym zrozumiał, w żywota iściźnie,
Co się odemnie należy Ojczyźnie!

Widzę was! Słyszę! W stronę gdzieś zachodu,
Chcecie po rozum spieszyć za granicę!
Frycówkę taką i jam też za młodu,
Zapłacił kiedyś! Lecz się tem nie szczycę!
Wiem jakie płyną z tych wędrówek skutki,
I u wrót kraju mocnej chciałbym kłódki!

Moskiewska szkoła mniej wam światła może,
Moskiewska szkoła mniej wiedzy udzieli,
Lecz za to Polak, wcale się nie trwożę
Byście w jej murach łatwo zmoskwicieli;
Byleby Polskie nie chciały matrony,
Niebezpieczeństwo nie grozi z tej strony!

Darmo, daremnie, wróg tam, na przemiany,
Gorzki, grubjanin, tyran lub szyderca,
Będzie fałsz wciskał w piersi waszych rany;
Wstrętny ten pokost nie przyłgnie do serca.
I z rąk farbierza, ufność mię nie mami,
Wyjdziecie kiedyś na świat, Polakami!

A za granicą, w zachodowej szkole,
Nie gwałtem, zwolna, gwałty tam nie znane.
Miano wam « Polak » zamażą na czole,
« Kosmopolita » napiszą w zamianę;
I fałsz, o gorszy! siejąc po cichutku,
Małpy z was istne, otrzymają w skutku.

Przeciwko Moskwie potężną zbroicą,
Młode wam piersi nienawiść okala;
Na Moskwie szaty zdarte z was się świecą,
Pełno plam krwawych na dłoni Moskala;
W dłoni tej, zatem, trucizna nie straszy,
Lekarstwo na nią w nieufności waszej!

A za granicą nic was nie ostrzeże!
Do uśpionego zaufaniem łona,
W prostocie ducha i w poczciwej wierze,
Przyjmiecie wszystko, co da dłoń pieszczona,
A dłoń ta nie da, wiemy z doświadczenia,
Nic, prócz jednego wynarodowienia.

Moskwa! Ta długo, bardzo jeszcze długo,
Będzie za nami na światel ścieżynie,
Ona dotychczas dzieckiem jest, papuga,
Co inni myślą, powtarza jedynie;
Wyżsi postępem, w obecnej więc chwili,
Raczej ją dźwigniem, niż ona nas schyli!

A za granicą, gdzie nie pójdziem, zgoła,
Spotkamy starszych oświatą, od siebie,
Wyrostek w walce z mężem nie podola;
I na bogatej cudzoziemców glebie,
Zwolna, powoli, zagubi, zatraci,
Wspomnienie matki i wspomnienie braci!

Widziałem. Pewno. Nie raz, nie dwa razy,
Powracających młodych stamtąd Panów,
Wybaczcie proszę, za żywe wyrazy,
Lecz strzeż nas Chryste od tych koczokodanów!
Od tej na tombak przerobionej miedzi!
Za filozofów przebranych niedźwiedzi!

Cywilizacja, rzecz to hołdu godna,
Gdy ją lud własną wytwarza potęgą
Gdy się nie wdziewa jak sukienka modna,
Kiedy codzienną raczej jest siermięgą,
Gdy w niej konieczna dla bytu potrzeba,
Jak w szczypcie soli i jak w kęsie chleba.

Gdy z biegiem czasu, nie prędko, powoli,
Codzienną walką z przeszłości upiorem,
Lud ją zaszczepia na rodzinnej roli,
Piórem i pędzlem, krzyżem i toporem,
Gdy pożyczając coś z niej u sąsiada,
Właściwy sobie charakter nań wkłada!

Cywilizacj takiej o to dużo,
Błogostaw Panie, w łech u nas zagości.
Trudy praojców niechaj ku niej służą,
Tak jak i trudy prawnuków w przyszłości;
Wspólnemi siły, niechaj ją uczynią
Setek pokoleń składkową świątynią!

Ale ta druga raptem pożyczona,
W której ni za grosz nic osobistego,
Kiepska peruka na bakier włożona,
I ucha zakryć nie zdolna oślego;
Młodzi Polacy, ci co podróżują,
Ją to najczęściej, ją reprezentują.

Gdzie li nie byli, zewsząd nam okruchy,
W starym, pomiętym przywożą paszporcie :
O filozofii z Niemiecczynny słuchy
O modach z Francji, z Londynu o sporcie
O sztukach pięknych z klasycznej Italji
A z Wisbadenu o ostatniej talji!

I tych to rzeczy lichą amalgamę,
Różnych lakierów błyszczącą połyskiem;
I w pedanterji oprawioną ramę,
Cywilizacji raczą chrzcić nazwiskiem!
A niech was! Hola! Dosyć już! Przystaniem
Małom się z brzydkiem nie wyrwał łajaniem!

Gdybyż to tylko! Może w tym pakunku,
Ponawożonych z za morza rupieci,
Z czasem, przy lepszym żywota kierunku,
Coś się znalazło dla kraju, dla dzieci;
Otóż nie! Zgoła! Dla czego? Tu właśnie,
Główny sęk sprawy, przed wami, wyjaśnię.

Dla tego drodzy! Iż w zamian gałganów,
Inwentarz których spisałem surowy,
Oni u Niemców, Francuzów, Hiszpanów,
Pozostawili duch swój narodowy;
Oni na obce cisnęli śmietniska,
Wszystkiem, co Polskie, wszystkiem, krom nazwiska

I powrócili obdarci z miłości,
Pozarażani szyderstwa chorobą,
Dziwacznej pełni zarozumiałości,
I dziwaczного cackania się sobą;
Gardzić, pomiatać, starem ojców gniazdem,
I wciąż nad nowym rozmyślać wyjazdem.

Błoń ich umysłu i serca ich niwa,
Przygotowawczej nie miała uprawy,
Cywilizacja na nich się prawdziwa,
Łatwo zrozumieć, zaszczepić nie dała!
Wzięli z niej raptem, podróży swych chwilką,
Zwierzchny li pozór, zwodniczy blichtr tylko!

Ale krój pługą za tępy, za krótki
By odłóg duszy w grunt uprawny zmienić,
Dosyć był ostrym, dowodzą nam skutki,
By polne kwiecie na nim wykorzenieć;
By skoszlawioną wytworzyć mu dolę:
Ni to zeń łąka, ni to jeszcze pole!

Leży tak, leży, bez żadnej korzyści,
Swoi go nie chcą, obcy się zeń śmieją
Zniw obietnica na nim się nie ziści,
On był i będzie zwiędłą w proch nadzieją;
Gwałtów naturze zadanych, produktem,
Przed dojrzałością, na wpół zgniłym fruktem!

O dzieci moje! Jeśli starca rady,
Mogą mieć u was jakie zachowanie,
A to wierzajcie, lepsze własne wady,
Niżli cnót cudzych kiepskie małpowanie!
Cnota, to ziółko, zwolna je, zostrożna,
Zasiewać trzeba, przesadzić nie można!

I bądźcie raczej, pośród własnej ziemi,
Wszystkiem, czem chcecie, szczerem, domorosłem,
Niżli lisami źle farbowanemi,
Niż źle w lwią skórę przyodzianym osłem;
I bądźcie raczej prostych wróbli zgrają,
Niż stadem gęsi, co orłów udają!

Warunek bytu każdego narodu,
W tem się zawiera : zostać samym sobą.
Wiele z nich wiele zginęło za młodu,
Naśladownictwa zabitych chorobą;
Nasz naród pierwszy. Młodzieży! młodzieży!
Resztek w nim życia bronić ci należy!

Wszak przyszłość jego w tobie li złożona,
« Być, lub też nie być? » Hamleta pytanie,
Drzemie dla kraju w głębiach twego łona;
Smierć ostateczna, lub też zmartwychwstanie,
Względnie twych czynów, przed wszechwiednem okiem
Bożym nań, z góry, spaść może, wyrokiem.

Strzeż się, strzeż zatem, wszystkich zgoła jądów,
A najpierw tego, co truje najprędzej,
Naśladownictwa głupiego sąsiadów!
I gdy twej ciężkiej, dzięki ojcom, nędzy,
Nie stać na wiedzę i światło u siebie,
Raczej u Moskwy pożycz tych w potrzebie!

Raczej u Moskwy, raczej od Moskala,
Weź co dać zechce i co dać ci może,
Lecz zostań, zostań od zachodu zdala!
Lecz na zachodu nie rwij się bezdroże!
Bo jak Bóg Bogiem! Śmierć Polski macierzy
Przez wasze ręce ztamtąd li wybieży! (†)

Kiedym tak prawił, raptem tam w dolinie,
Widok ten smętne rozjaśnił mi lice,
Przez mgły i dymów kłęby szaro sinie,
Wileńskich świątyń zabłysły wieżyce,
Tu się nudnemu uklonić wam zrzędzie,
Koniec podróży i koniec gawędzie.

Jeślim w tej książce, od czasu, do czasu,
Wad narodowych wytykając skutki,
Nazbyt gromkiego użył na to basu ;
Jeślim w mych gniewach nadto nieco rzutki,
Za gorzkie słowo temu rzekł, a temu,
Wybaczcie proszę, wybaczcie staremu !

On was ukochał, tak rzewnie, tak szczerze
On by wam niebo chciał przegiąć pod nogi,
I jeśli czasem na kiel z lekka bierze,
Jeśli zeń sędzia częstokroć za srogi ;
To i to także źródło ma w miłości,
On was wzorami śni doskonałości !

Jako ów ojciec, za flgle, za psoty,
Na jedynaka sierdząc się surowie,
Niedostrzeżony, cichy, dźwięk pieśczoły
W gorzkiem na pozór groźby mieści słowie;
Tak i ja tutaj, łając was zawzięcie,
W każdym wyrazie słę wam uściśnięcie!

Nadstawcie ucha! Wglądnicie w głąb rzeczy,
Klątwy me, fochy, przenicujcie wrzące,
Wykrzykom gniewu, wszędzie myśl zaprzeczy,
Wszędzie przebaczeń znajdziecie tysiące;
Wymówek winy, absolucji grzechów,
J błogostawieństw, i łez i uśmiechów!

Żegnajcie teraz! Kto wie, ukochani,
Może już nigdy nie zejdzien się z sobą?
Pora staremu, pora do przystani!
Doba dlań rokiem, a godzina doba!
A więc! Nieskończę! Oko łzami tryska!
A więc nie mogę rzec : « Do zobaczyska! »

Gdyby jednakże Pan Bóg bazarzowi,
Chciał jeszcze, życia lat darować parę,
Gdyby ten znowu, gwoli nałogowi
Muzie ostatnią przynosząc ofiarę,
Powrócił z gadką do swego narodu;
Niech w nim do dąsów nie znajdzie powodu! (†)

KONIEC



NOTATKI

I OBJAŚNIENIA





NOTATKI

1

OBJAŚNIENIA

—

Następne

notatki i objaśnienia, wydawca, dla dokładnego pojęcia textu, niezbędnemi być osądził.

—

ROZDZIAŁ I

(a) — *Z Diaforjusa błazeńską powagą.*

Diaforjus udatny, smieszny, typ lekarza z Molirowskiej komedji « Le Malade imaginaire » autor tu widocznie wziął za figurę wszystkich pedantów a kuglarzy, z poważną miną, niestworzone wygłaszających baje.

- (b) — « *Tak lud nasz prosty, na sposób prostaczy.
Dziwy natury sądzi i tłumaczy.* »

Autentyczne. Legenda zresztą i w innych dość powszednia krajach.

ROZDZIAŁ II

- (c) — « *Ezy głupie ronić nad « Heloizę » dolą.
Lub się « Faublasów » zachwycać swawolą.* »

Tu, jak powyżej, rzecz naturalna « Heloiza » (La Nouvelle Héloïse de J. J. Rousseau) i « Faublas » (Les Amours du chevalier de Faublas, par Louvet de Couvray) służą za typy dwojakiego rodzaju lub ckliwo-sentymentalnych, lub też ohydnie rozpustnych, a niestety bardzo u nas rozpowszechnionych Francuzkich romansów.

- (d) — « *Porządek* » mówmy « *panuje w Warszawie.* »

Alluzja do niecnych słów Francuzkiego Ministra Marszałka Sebastiani : « l'ordre règne à Varsovie » któremi, minister ten, krwawe uśmierzenie Listopadowej u nas rewolucji, Francuzkiej ogłosił izbie.

(e) — *A bałagulę, czy jak tam ich miano.* »

Dla młodszego pokolenia : Bałagulami zwali się na Wołyniu, Podolu i Ukrainie obywatelscy synowie, którzy w znacznej możej, z początku, myśli, przysobienia dla przyszłego powstania walczyli i wytwaляли żołnierzy, starali się o rozwinięcie w sobie sił fizycznych, i męzkich do koni, łowów i. t. p. gustów. Gusta te rozwinęły się aż nadto; lecz niestety, na niekorzyść moralnej strony tejże młodzieży, która bardzo smutne, hulaków i prózniaków, po sobie zostawiła wspomnienie. Nazwa « Bałagula » pożyczona u żydów, którzy słowem tem z Hebrajskiego « Baal » pan i « gulu » wóz najmującego się do podróży, określają, woźnicę.

(f) — *« Dostał sto batów i poszedł w rekruty. »*

Nie tajemem jest nikomu, iż w rzędzie innych nadużyć, ohydnej poddaństwa zmory, niepoślednie miejsce zajmowało to, iż Pan, słusznie czy niesłusznie na którego z chłopków swych zagniewany, mógł, odpowiednio władze pewnym przekupiwszy datkiem, podciągnąć winowajcę pod obowiązek służby wojskowej (rekructwa) na lat dwadzieścia za cesarza Mikołaja, na resztę więc prawie żywota; chociażby niektóre okoliczności, jak naprzkład zdrowie, cha-

rakter jedynaka itd. itd. prawnie go od służby tej uwalniały. Służba wojskowa grała rolę karceru, jakim się krnąbrny charakter niektórych poskramiało.

(g) — *Patrzcie na siola co na kaźń zabrane*

Posiadłości, po obywatelach Polakach, za udział w powstaniu 1830 r., na korzyść rządu zabrane, zawiadywanemi były przez osobną, na ten cel wytkniętą administrację : (« Wołostnoje uprawlenie »), która to administracja, w ogóle, stronnem zdzierstwem, i okropnym biednych chłopków, odznaczała się, uciskiem.

ROZDZIAŁ III

(h) — « *Bo kiedym zwiedzał wsytkie świata kraje
Wszędzie przed silnym słaby się tam kłoni.* »

Niezaprzeczoną jest prawdą, iż Ojcowie nasi, stosunkowie przynajmniej, mniejszym się, niż inne narody, względem upośledzonej kasty ludu, chłopków, plamili okrucieństwem. Dość będzie wspomnieć Kazimierza Wielkiego, którego potomność « Królem chłopków » przeważa, by

dowieść, iż biedacy, od czasu do czasu przynajmniej, w kraju naszym, chwile ulgi i wysokich miewali protektorów. Na tej to myśli wsparty autor, przypuścił widocznie, iż ciemnienie ludu późniejsze, napływową, pożyczoną u obcych, a nie samorodną, w sercach szlachty wyległą, było niecnotą.

(i) — « *Oto ma rada, czy jej kraj postucha.* »

Wielką byłoby niesłusznością, gdyby kto z czytających, cały powyższy ustęp, emancypacji włościan dotyczący, ze stanowiska ściśle praktycznego, ściśle ekonomicznego, krytykować zapragnął. Ramy poezji źle do tego rodzaju przystają tematów. Kajdany rymowe dokładnemu myśli przeszkadzają rozwojowi. A przytem, jak to sam autor powiada, rady jego, raczej z serca, niż ze statystycznych, płynęły, tabliczek.

ROZDZIAŁ IV

(k) — « *Szedłem na zewnątrz i siadłszy na przyłbie.* »

Lokucja prowincjonalna i za granicami Wołynia wcale może nieznaną. Autor, Rusin, od czasu,

do czasu, na takie sobie pozwala grzeszki. *Mir* zamiast *spokoju*, *rozhowor*, w miejscu *rozmowy*; *druh* w znaczeniu *przyjaciela*, baczniemu czytelnikowi, w niniejszej książce, parę razy spotkać się wydarzy. *Przyźbą* lub *pryźbą* lud wołyński nazywa ławę z gliny lepioną, a w około bieżącą chaty, miejsce schadzek wieczornych latem, narad, pogadanek, itd.

(l) — « *I jak nic, smacznie zjadają w pasztecie.* »

We Francji pasztet z skowronków (*paté d'alouettes*) za bardzo delikatne i smaczne uchodzi jadło.

(t) — « *To, co wymarzysz będzie zgola niczem. Przed nieskończonem istnienia obliczem.* »

Wielka prawda, czyjeż bowiem najśmielsze marzenie, niedawno jeszcze temu, zabiedz tam mogło, gdzie nas obecnie rozwój nauk i badanie przyrody bezpiecznie zaprowadziły? Z tego co już wiemy, sądząc o tem, co nam jeszcze wiedzieć pozostaje, i o tem, co z powodu ograniczoności¹ umysłu ludzkiego, wieczną dlań musi zostać zagadką, do istotnie dreszczem uwielbienia dla natury przejmujących, dochodzi się rezultatów.

ROZDZIAŁ V

(m) — «*Jż ten co światów trzymał w ręku szale,
Na pychy w Wiedniu rozbije się skale.*»

Z pewnego stanowiska na Napoleońską zapatrując się epopeję, rzeczywiście trudno obronić się myśli, iż upadek tego wodza niczemu innemu, jak tylko zdradzeniu przez niego wytkniętej mu od opatrności missji, przypisać by należało. Cezar ludów, wzrosły z Rewolucji 1789 r., miast ciągle działać w jej imieniu, miast ciągle jak w początkach, interesa uciemienionych plemion na zwyciężkim swym dźwigać sztandarze; on myśleć zaczął o utrwalenia swej dynastji, on się z przedstawicielami zbutwiałej kumać zaczął, przeszłości. Bodaj czy to nie od zaślubin Cesarza z Austrijczką Marją Ludwiką, bodaj czy to nie od tych egoistycznych zaślubin, datuje przesilenie niezwyciężonej dotąd jego gwiazdy, epoka ciągłych błędów, i dążącej tuż za niemi w ślady, przegranej.

(n) — «*Dla mej ojczyzny, jabym ż Horacjuszem.*»

«*Aurea mediocritas.*» HORATIUS.

(o) — «*Nelsonskie żrazy, do nich kaszy rynkę.*»

Wydawca wcale się do znajomości sztuki

kuchennej nie przyznaje. Zdaje mu się jednak, iż tak zwane Nelsonskie zrazy pieczarkowym zaprawne sosem, jadają się bez kaszy.

(p) — *« Matka natura tych skoków nie znosi. »*

« Natura non fecit saltum. »

(r) — *A teaaż z fajką gdy deszcz w szyby dźwięni.
Ot tam na ławie położę się nieco. »*

Wiele osób w Polsce, zwłaszcza podeszłych tak czyni, iż po obiedzie, podjadłszy, na parę godzin udaje się drzemki. Bronić zwyczaju tego nie myślemy. Widoczny w nim wpływ sąsiedniego wschodu. Do lekarzy o skutkach jego korzystnych lub szkodliwych dla zdrowia sądzić należy.

ROZDZIAŁ VI

(s) — *« Na Święty Jana, co był przed miesiącem. »*

Dzień Ś^o Jana w Czerwcu przypadający, był epoką zawierania nowych kontraktów i układów.

z dzierżawcami, arendarzami itd. na Rusi przynajmniej. Czy tak jest gdzieindziej, nie wiemy.

(t) — « *Elukubracje niektórych pismaków.* »

Dwie były takich tendencji szkoły. Jedna (dzięki Bogu bardzo nieliczna), sprzedana rządowi, historyczną, szlachecką, przeszłość Polski, dla łatwych do zrozumienia powodów, ohydzić się starała. Druga (liczniejsza) czyniła to samo, choć w innym, demagogicznym, celu.

(u) — « *Za kilka groszy rzuconych Niemcowi.* »

Wiadomo, iż niektóre hrabiowskie i baronowskie tytuły, do Polskich przyczepione nazwisk, w Austrijackim zwłaszcza zaborze, ceną się nabywały pieniędzy.

(w) — « *Kasztelan sąsiad smalcu koperczaki.* »

Kasztelan po 1815 r. wydać się może anachronizmem. Pamiętać jednak trzeba, iż osobom które w Polskim zasiadały senacie, pomimo złożenia ich z tej godności, tytuły Wojewodów i kasztelanów nadawano. O takim to zapewne ex-Kasztelanie w rękopiśmie niniejszym mowa. Tytuły zawsze były i będą właściwą naszą chorobą.

(x) — « *Kazimirzeczkie błogosławić krzyże.* »

Kazimirka wioszczyna Rowieńskiego powiatu Wołyńskiej gubernji, ładnym kościołem i cudownym w nim obrazem Matki Bożej, szeroko w kraju słynąca. Kościół fundacji Radziwiłłów. Wioska, w ostatnich przynajmniej przed 1863 r. czasach, własność obywatela Rypczyńskiego.

ROZDZIAŁ VII

(y) — « *Ongi, pamiętam, właśnie w porę żniwa.* »

Pora roku w której Uniwersytecka młodzież, z dorocznych powracała wakcji, mniej więcej zbiegała się ze żniwami.

(z) — « *I to nie arcy, słyhać li w Kijowie.* »

Słowa te za dokładną datę rękopismu (daty tej nie było) posłużyćby mogły. Rękopism pisany był widocznie wtedy, kiedy rządy Bibikowskie w Kijowie, systematycznie demoralizację przeprowadzające młodzieży, przez czas jakiś przy-

najmniej, żądanym cieszyły się skutkiem. Studenci S^o Włodzimierza na nie szczególną zasługiwali sobie reputację. Później o wiele było lepiej.

(7) — « *Bo jak Bóg Bogiem, śmierć Polski macierzy.
Przez wasze ręce stamtąd li wybieży.* »

Drażliwa kwestja kształcenia się Polaków za granicą za pole szerokiej i długiej posłużycy mogła polemiki. Nie miejsce tu na nią. Wydawca jedną tylko sobie w tej mierze zrobić pozwoli uwagę. Przez długi czas mieszkając w Paryżu, często gęsto miewał zręczność ocierania się o młodzież Polską tam wychowaną : synów emigrantów z 1830 r. uczniów niby to Polskich (Batignolles, Montparnasse) zakładów itd. itd. Otóż z małym, bardzo małym wyjątkiem, smutne ze stosunków tych wyniósł wrażenie. Nie sposób straszniejszych, zupełniejszego wynarodowienia się, szukać przykładów. Nie mowa tu już o przekonaniach, zasadach, pojęciach tej generacji. — Tak daleko wymagań naszych posuwać już nawet nie chcemy. Mowa tu tylko o ojczystym języku, o znajomości ojczystych dziejów, o tych ostatecznych warunkach, bez których, narodowość, zgodzicie się sami, pustym, bez sensu, jest tylko wyrazem. Otóż. Na dziesięciu tych

Panów, trzech po polsku nie mówi wcale, sześciu mówi źle, jeden zaledwie znośnie się wyrazić potrafi. Na dziesięciu tych Panów, sześciu o Polsce nic nie wie, reszta wie o niej tyle, co i minister oświaty publicznej we Francji (ongi za Ludwika-Filipa) hrabia Salwandy, który historję rządów Jana III pisać się pokusił i w historii tej skreślając zarys pobieżny pierwotnych dziejów naszej ojczyzny, takie wypowiadał dziwo-łagi — « W owych czasach panowała w Polsce dynastja monarchów, znana pod nazwą: król itd. itd. — Pokażcie mi proszę szkoły moskiewskie, dawniej lub nawet teraz, któreby, chcąc, pracując nad tem usilnie, podobnym wynarodowienia Polskich dziełek, pochwalić się mogły rezulta-tem. — Na tem pytaniu, na tej poprzestaną uwadze, resztę kwestji czytelników pozostawiając sądowni.

(ż)—«*Niech w nim do dąsów nie znajdźcie powodów.*»

Jedna z głównych racji, które wydawcę do nadania całej książce tytułu « *Dąsy* » przeważnie skłoniły.

Koniec notatek i objaśnień.



SPIS RZECZY



SPIS RZECZY

	<i>str.</i>
Wstępne słowo.	3
Rozdział I	13
Rozdział II	37
Rozdział III	65
Rozdział IV	93
Rozdział V..	119
Rozdział VI...	143
Rozdział VII..	167
Notatki i objaśnienia	193







2.000-

788497/88

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
B I B L I O T E K A

201825

Biblioteka WSP Kielce



0070005